

*Abruz' erudt piffard so firt uf im zeit
ano 1284 Zur Hamblen an der Woser
wzagt und erfunden hatt im Braunsig*



Legendy z dawnego powiatu stawieńskiego

*Die Statt
Hamblen
an Braunsig*



*Woser
Fluiss*

*1910's Capz
uawice*



*Wosffel
paw*

Stawno 2023

Legendy z dawnego powiatu sławieńskiego
wybór

Legendy z dawnego powiatu sławieńskiego wybór

opracował na podstawie tłumaczeń
BRYGIDY JERZEWSKIEJ

i wstępem opatrzył
JAN SROKA

SŁAWNO 2023

Ilustracja na okładce: Szczurołap z Hameln, kopia witrażu z kościoła w Hameln, akwarela

Redakcja i korekta: Maria Poprawska

© Copyright by Jan Sroka

© Copyright by Fundacja „Dziedzictwo”

Wydawca: Fundacja „Dziedzictwo”, 76-100 Sławno, A. Cieszkowskiego 12 d

Skład i druk: PPU „BOXPOL” Sp. z o.o., 76-200 Słupsk, ul. Wiejska 28
email: druk@boxpol.pl, tel. + 48 58 842 43 71

ISBN: 978-83-957115-6-5

Spis treści

WSTĘP	9	Legenda o Bogusławie i Hansie Langu . . .	29
LEGENDY O WIEPRZY	11	Legenda o kościele św. Gertrudy	31
Z Darłowa do Sławna wzdłuż Wieprzy	13	Muzykant i wilk	33
Wieprza głośno woła	15	Niepodniesiony skarb ze Starego Jarosławia	34
Legenda o Wieprzy	15	O odmeldowywaniu	35
Skąd tak duża ilość zakoli na Wieprzy? . . .	16	Potwór morski	36
O węzłach nad Wieprzą	17	Przerwana gra w karty na wieży Kościoła Mariackiego	37
LEGENDY Z DARŁOWA I OKOLICY	19	Szczurołap z Hameln	39
Arcydzieło mistrza	21	Upiorne wilki koło Ruska	41
Diabeł na drodze z Bukowa Morskiego do Dąbek	22	Widmo przy moście koło Cisowa	42
Duch okrętowy	23	Wigilia w kościele	43
Dzwon w Starym Jarosławiu	24	Wolnomularze w Darłowie	44
Dzwony w Krupach	25	Wolny strzelec w lesie miejskim	46
Flądra i jej krzywy pyszczek	26	Zasypany orszak weselny	48
Księżę Jan Fryderyk w Starym Jarosławiu	27	Zmarły prosi o swoją własność	48
Księżna Zofia straszy	28	Zmarły straszy na drodze z Żukowa Morskiego do Dąbek	49

LEGENDY Z MALECHOWA	51	Dziki myśliwy koło Chocimina	72
Co dzwoni na szosie do Kręgu	53	Dzwony w jeziorze Dolnym	74
Cztery historie z wilkami z Wiekowa	54	Dziki myśliwy dzieli	75
Diabelski kamień z Białęcina	56	Jak powstał rów koło Rzeczycy Wielkiej ..	76
Diabelski kamień koło Pękanina	56	Jeżeli się wierzy w duchy	79
Diabeł jako czarny pies koło Sulechowa ..	57	Lis i gęś	81
Jak Malechowo zostało zwolnione z podatku na rzecz Bukowa Morskiego ...	58	Przynoszący szczęście kamień ze Świętej Góry	82
Jak ustalono granicę między Ostrowcem a Janiewiczami	59	Sędzia i diabeł	83
Niesamowite polowanie koło Ostrowca ...	60	Święta Góra koło Polanowa	85
Skarb z Paprot	60	Uzdrowiające źródło przy Świętej Górze	87
Spór o las	61	Wilcza dola	89
Zaczarowany kot z Malechowa	62	Wdzięczny niedźwiedź	91
Z jaj danina dla pana z Żegocina	63	Zemsta podziemnych ludzików w Żydowie	92
Zatopiony kościół koło Podgórek	63	Złodziejka zostaje zaczarowana	93
Zatopione dzwony w jeziorze Czarnym koło Pękanina	64	Zmarła zabiera swego narzeczonego	94
LEGENDY Z POLANOWA	65	LEGENDY Z POSTOMINA	95
Alf przy stawie koło Polanowa	67	Błądny ognik koło Jarosławca	97
Bursztynowe krasnoludki w forcie koło Polanowa	68	Cudowny ratunek przed wilkami	98
Czerwony kubraczek mści się	70	Diabelski zakład w Staniewiczach	99
Czerwony kubraczek pomaga robić masło	71	Karzełek z przetaku	101
		Karzełki wyprowadzają się z Rusinowa ...	102
		Odlewanie dzwonów Łącku	104
		O tajemniczym łabędziu na jeziorze Wicko	105

Podziemne karzełki w Rusinowie	106	Sianowska skromność	135
Przeprawa promem	107	Szubienica sianowska	136
Skąd się biorą wilkołaki	108	Tańczące konfirmantki w kościele	
Sobowtór z Rusinowa	109	w Iwięcinie	137
Statek widmo na jeziorze Wicko	110	Wojna przyszła	138
Trzy pierścienie	111	Wybór nowego burmistrza	139
Widmo na murze cmentarnym w Łącku	112	Żywy pajac	140
Zasypana wieś	113		
Zjawia na drodze do Radosławia	114	LEGENDY ZE SŁAWNA I OKOLICY	141
LEGENDY Z SIANOWA	115	Krzyż na niebie	143
Bractwo Kurkowe	117	Krzyż pokutny w Sławnie	144
Cudowny piec przy plebanii	118	Podatek od toczenia I	145
Diabelskie bagno koło Karnieszewic	120	Podatek od toczenia II	146
Jak burmistrz kupił torf	121	Przepaść koło Sławnska	147
Jak krzew jałowca znalazł się w Iwięcinie	122	Rów zmarłych koło Sławna	148
Jak sianowianie innym dali zapalki	124	Zaczarowany zamek koło Sławna	149
Kąśliwy pikling	126	Czerwona księża	150
Kłopoty z sianowskim piwem	127	Pożyczone dzwony kościelne	151
Kobold z Suchej Koszalińskiej	128	Młyn w Gwiazdowie	152
Lipa przed sianowskim ratuszem	129	O zamku w Boleszewie	154
Małe orzeźwienie	130	Światło w kościele w Ryzszczewie	155
Oszukany oberżysta	131	Skrzaty w Warszkwowie	156
Przesuwanie kościoła	133	Skrzat gotuje	156
		Jak założono zamek w Sławnsku	157

Wstęp

Nowy tom legend z powiatu sławieńskiego zawiera opowieści z sześciu współczesnych gmin: miast Darłowo i Sławno i gmin wiejskich Darłowa i Sławna, Malechowa i Postomina oraz legendy z Sianowa i Polanowa wraz z okolicznymi miejscowościami, które to miejscowości wchodziły dawniej w skład powiatu sławieńskiego.

Wszystkie zamieszczone w tomie legendy powstały w rzeczywistości niemieckiej - i zostały wydane przed 1945 rokiem przez niemieckich etnografów.

Zbieraniem i publikowaniem legend pomorskich - także tych dotyczących dawnego powiatu sławieńskiego - zajmowali się na przełomie XIX i XX stulecia m.in. Otto Knoop, Alfred Haas i Ulrich Jahn. Wielkie zasługi dla poznania dawnego folkloru powiatu położył Karl Rosenow, regionalista i założyciel Heimatmuseum w Darłowie, autor licznych prac o ziemi sławieńskiej i Pomorzu. Legendy związane z tą ziemią publikował zarówno w prasie jak i książkach.

Pierwszy zbiór legend wydał w roku 1922 pt: „Sagen des Kreises Schlawe” - „Podania z powiatu sławieńskiego”. W 1924 roku ukazał się zbiór: „Zanower Schwänke, ein fröhliches Buch. Der deutschen Jungend gewitmet” (Sianowskie krotchwile. Wesoła książeczka dla młodzieży niemieckiej) - zawarte w nim były zabawne dykteryjki, które opowiadały o niezbyt rozsądnych mieszkańcach Sianowa nieznających podstawowych praw przyrody, co prowadziło do śmiesznych zdarzeń. Kolejne tomiki ukazały się w 1937 roku: „Sagen und Erzählungen aus dem Kreis Schlawe. Teil 1: In und um Rügenwalde” i w 1938 roku: „Sagen und Erzählungen aus dem Kreis Schlawe. Teil 2: In und um Schlawe”, (Podania i opowieści z powiatu sławieńskiego, T. I z okolic Darłowa i T. II z okolic Sławna).

Legendsy i podania z południowej części powiatu – Polanowa i okolicy – zebrał i wydał Ernst Koglin kierownik szkoły w Polanowie. W drugiej połowie lat 30-tych ubiegłego stulecia wraz ze swymi uczniami zbierał stare podania chodząc po okolicy Polanowa i odwiedzając mieszkające tam rodziny. Zbiór ukazał się we wrześniu 1939 roku, kiedy zaczęła się II wojna światowa i inne sprawy stały się bardziej ważne i został zapomniany. Nosił on tytuł „Was eine ostpommersche Kleinstadt erzählt: Sagen u. Erzählungen aus d. Süden d. Kreises Schlawe“ (Co opowiada wschodniopomorskie miasteczko: legendy i opowieści z południowej części powiatu sławieńskiego).

Tłumaczem legend z Polanowa był Bernhard Kubat, który był Kaszubem i płynnie mówił po polsku i niemiecku. W 1946 roku osiedlił się w Polanowie i tam dokonał przekładu.

Karl Rosenow we wstępie do tomu z 1922 roku pisał: „Należy pamiętać, że legenda i podanie mówią o zamierzczłych czasach, nie znajdując często oparcia w materiale historycznym. W ustnych przekazach jest dużo fantazji i wyobraźni opowiadającego. Legendy zawsze są związane z niecodzienną osobą, z pewnym niezwykłym miejscem i wydarzeniem”.

Opowieści zawarte w tym tomie pochodzą przede wszystkim ze zbiorów Karla Rosenowa, kilka z nich z publikacji Otto Knoopa wydanej w 1885 roku „Volkssagen, Erzählungen, Aberglaube, Gebräuche und Märchen aus dem östlichen Hinterpommern” (Opowieści ludowe, opowiadania, przesady, zwyczaje i bajki z Pomorza Wschodniego) oraz zbioru legend z Polanowa i okolic.

Legendsy te są skarbnicą wiedzy o dawnym, nieistniejącym już świecie.

Legends o Wieprzy

Z Darłowa do Sławna wzdłuż Wieprzy

Mieszkańcy ziemi darłowsko-sławieńskiej nigdy nie byli bogaci w ziemskie dobra, ale za to bardzo bogaci w kamienie. Przed wiekami, kiedy topniały lodowce i tworzyły się doliny rzek Wieprzy i Grabowej, na polach pozostawały duże ilości gładów i kamieni. Często były używane do budowy kościołów i zagród chłopskich.

W nadbrzeżnych jeziorach i w Wieprzy do dziś leżą kamienie, które woda przyniosła z dalekiej Skandynawii i wodzie zawdzięczają spokój trwający od stuleci.

Wędrowiec idący brzegiem rzeki za wszystkie niedogodności drogi zostaje sownie nagrodzony. Co chwilę otwierają się nowe widoki: zarośla olszyny i wikliny, sitowia i trzciny, pachnące trawy i białe kwiaty dzięgielu.

Przejażdżka łódką jest bardziej męcząca, gdyż rzeka ma wiele zakoli, a z jej nurtów wystaje wiele kamieni. Szczególnie dużo ich jest koło Racisławia w pobliżu Darłowa.

Dawniej Wieprza miała inne koryto i wpływała do jeziora Bukowskiego. Dziś od Krup do ujścia płynie w sztucznie utworzonym korycie.

Za Zieleniewem krajobraz staje się bardziej romantyczny. Wieprza płynie przez teren pagórkowaty. Zbocza porośnięte są olszyną, leszczyną i wierzbami. Z drogi pagórki robią wrażenie zalesionych gór. Nieco za Zieleniewem leży w rzece olbrzymi gład nazwany „Kamieniem Wieprzy”. Ma około trzech metrów długości i około jednego metra szerokości. Nie wiadomo jak głęboko sięga. Rzeka ma w tym miejscu ponad dwa metry głębokości. Duży czerwony granitowy gład od wieków opiera się sile fal i jest świadkiem wielu zdarzeń, które miały tu miejsce. Niekiedy przeszkadzał w żegludze flisakom.

Kraina między Kowalewicami a Krupami nazywana jest czasem pustynią. Wędrowiec podczas gorącego lipcowego dnia wdycha zapach żywicy z niskich sosen i widzi żółty janowiec kołyszący się w gorącym powietrzu.

Kowalewice położone są na wzniesieniu. Na samym szczycie znajduje się stary kościół. Wieprza płynie tu jak srebrna wstęga wśród zielonych pól i kieruje się do Starego Krakowa. Pół godziny przed wioską do Wieprzy wpływa strumyk. Tu stoi perła krajobrazu tych stron – młyn leśny. Staw młynarski okalają zielone pagórki. Woda szumi w jazie i wprawia w ruch porośnięte mchem koło młyńskie. Wąska dróżka prowadzi do kilku zagród położonych pośród sadów i dalej na Górę Piekielną, z której spada głęboki stromy parów otwierający się ku Wieprzy.

Kto w piękny letni poranek widział promienie słońca walczące z pasemkami mgły, które później znikają w zaroślach, ten na długo zapamięta ten widok.

Młyn leśny to namiastka tego, co oczekuje nas w Starym Krakowie. Na wzniesieniu, pośród cienistych drzew stoi stary, późnogotycki kościół wiejski zbudowany z cegieł i gładów polnych. Ze starego cmentarza stroma ścieżka prowadzi do jaru, w którym wesoło szmerze strumyk. Jego wody wpływają do stawu. Nieco dalej pośród lasu widać starą, piękną leśniczówkę.

Droga przez las prowadzi nas teraz do Chudaczewka, wioski kolonistów – osadników założonej podczas panowania Fryderyka Wielkiego daleko od świata, pomiędzy lasami i rzeką. Zdaje się, że czas się tu zatrzymał. Miesiącami nie widać tu obcego.

Na drodze do Mazowa podziwiamy głębokie jary. Nie możemy się jednak dostać na drugą stronę rzeki, bo nie ma mostu. Jedynym środkiem komunikacji między wioskami jest prom. Idąc do Mazowa mijamy w lesie duży utwardzony plac. Tu podczas letnich wieczorów bawi się młodzież.

Kolejne miejscowości przez które płynie rzeka to osady kolonistów – Wilkowice i Radosław. Pierwsi osadnicy pochodzili z Palatynatu i jeszcze dziś używają swojej rodzinnej gwary.

A Wieprza prowadzi nas dalej, do Staniewic i Sławska.

Wędrując wzdłuż rzeki można podziwiać zmieniający się jak w kalejdoskopie krajobraz, który raduje nasze oko i serce. Pośród wiosek, pól, łąk, lasów Wieprza płynie wolno ku morzu.

Wieprza głośno woła

W bardzo mroźne zimy Wieprza pokrywa się lodem, niekiedy bardzo grubym. Lód lubi się rozpychać, ale brzegi rzeki na to nie pozwalają. Wtedy tafła lodu wybrzusza się na kształt sklepienia. Lód pęka, tworzą się szerokie rysy i szczeliny, co powoduje głośne trzaski niczym odgłosy burzy i grzmotów. Ludzie obawiają się najgorszego, mówią: „Wieprza krzyczy, głośno woła, gdyż chce mieć nową ofiarę”. I tak jest naprawdę. Prawie co roku giną w rzece ludzie, czy to podczas jazdy na łyżwach, kąpania się lub wędkowania. Szczególnie dużo wypadków utonięć jest w basenie miejskim przy dzisiejszych elewatorach w Darłowie.

Legenda o Wieprzy

Nazwa rzeki „Wieprza” pochodzi z języka słowiańskiego. Podobno, tak głosi legenda, gromada dzikich świń grzebała w leśnym poszyciu. Szukając żeru świni odkryły źródło, z którego coraz mocniej wypływała woda. Było to źródło rzeki nazwanej później „Wieprza” ku pamięci jej odkrywców.

Skąd tak duża ilość zakoli na Wieprzy?

Długość Wieprzy od źródła do ujścia wynosi w prostej linii zaledwie 70 kilometrów, lecz z powodu dużej ilości zakoli długość koryta rzeki mierzy aż 150 kilometrów.

Skąd taka ilość zakoli? O tym opowiada legenda.

Tam gdzie dzisiaj płynie rzeka, w zamierzchłych czasach diabeł orał ziemię. A że konia nie miał, zaprzął był własną teściową do pługa. Kiedy babina słaniała się ze zmęczenia, pług za nią ciągnął to w prawo, to w lewo. Bruzdy stały się nierówne, tworzyły łuki i zakręty, które pomału napełniły się wodą. Kiedy diabeł zobaczył taką partacką robotę, zdenerwował się okrutnie i w ogromnym szale przegonił babinę, która uciekając dalej za sobą ciągnęła pług. I dlatego Wieprza dzisiaj ma 5 dużych meandrów i kilkaset mniejszych zakoli.

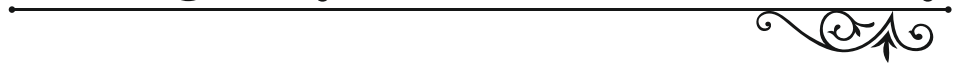
9 węzach nad Wieprzą

W dawnych czasach podobno istniały węże długie jak dom i grube jak brzuch dorosłego mężczyzny. Węże umiały latać i wydawały dźwięki głośniejsze od ryczenia wołu.

Wieprza wypływała z płytkiego, nieistniejącego już jeziora, pośrodku którego znajdowała się wyspa. Trawa tam była bardziej soczysta niż na przybrzeżnych łąkach i dlatego wieśniacy gonili bydło na wypas na wyspę. Nie wiedzieli, że w ogromnym spróchniałym pniu buka zagnieździł się potężny wąż, który napadał na bydło, dusił je i wypijał krew. Kiedyś pastuch zauważył na piasku długą, szeroką bruzdę wyglądającą tak, jakby po ziemi ciągnięto pień drzewa. Poszedł jej śladem i zobaczył ogromnego węża. Drżąc ze strachu uciekł co sił w nogach.

Mieszkańcy wioski postanowili przepędzić bestię, która wyrządzała im wiele szkód. Podpalili zarośla wokół wyspy. Kiedy ogień dotarł do kryjówki węża ten uniósł się w powietrze i odfrunął z wyspy na zawsze.

Legendy z Darłowa i okolicy



Arcydzieło mistrza

Kiedys w kościele w Krupach wisiał mały stateczek wotywny. O nim to właśnie opowiada ta legenda. Więcej niż sto lat temu mieszkał w Krupach cieśla, który budował piękne domy, mimo że nie posiadał tytułu mistrza. Cech rzemieślników z Darłowa zakazał mu wykonywania pracy. Mimo to Michel Jass dalej budował.

Pewnego dnia członkowie cechu przyjechali do Krup sprawdzić czy cieśla respektuje zakaz. Zastali go na budowie w wiosce. Starszy cechu zabronił mu pracy. Słyszac to cieśla złapał swoją siekierę i rzucił nią z rozmachem. Trafił w belkę, na której miał opartą prawą nogę, w szparę pomiędzy pierwszym a drugim palcem nogi. Przybyli zamilkli. Cieśla Jass zaproponował, by także spróbowali rzucić siekierą. Nikt jednak nie był na tyle odważny. W końcu zdecydowano, że cieśla Michel Jass z Krup może dalej pracować w zawodzie, mimo że nie zdał egzaminu mistrzowskiego.

Jako podziękowanie cieśla w wolnych chwilach wykonał piękny statek dla kościoła w Krupach.

Diabeł na drodze z Bukowa Morskiego do Dąbek

Droga z Bukowa Morskiego do Dąbek prowadzi wzdłuż jeziora. Jest bardzo nierówna i przecina ją kilka rowów, tak że korzystanie z niej jest niebezpieczne w dzień, a co dopiero w nocy. Po obu jej stronach stoją skarłowaciałe drzewa rosnące na piaszczystej, a często bagnistej ziemi. Dzikie zarośla z olszyn, jeżyn i kolczastych dzikich róż pokrywają suche trawy. Samotny wędrowiec słyszy w nocy dochodzące z krzaków odgłosy dzwonka. To dzwoni diabeł, który chce zwabić wędrowca na mokradła.

Przykra przygoda spotkała chłopca z Dąbek, który w niedzielę brał udział we mszy w Bukowie. Po nabożeństwie, zamiast iść do domu, zaszedł do pobliskiej gospody, gdzie spotkał dobrych przyjaciół grających w karty. Pozostał z nimi do zmierzchu.

Kiedy wracał do domu, nagle zawiął silny wiatr, strumyk przy młynie dziwnie zaszumiał, podobnie drzewa i krzewy. Nagle poczuł na plecach ciężar, jakby dźwigał worek mąki. Trudno mu było iść dalej, ale nie oglądał się za siebie. Drżał ze strachu i myślał o ciężkim grzechu niedzielnym – o knajpie i kartach. Chłop wiedział, że diabeł straszy na drodze, a teraz siedzi mu na plecach. Zgubił kapelusz, lecz nie schylił się po niego tylko potykając się szedł dalej. Po kilku godzinach cały spocony dotarł do Dąbek. Przed domem poczuł silne kopnięcie i w tej samej chwili ciężar zsunął się z jego pleców.

Od tego dnia chłop po mszy zawsze wracał prosto do domu. Zawsze w dzień, nigdy więcej nocą!

Duch okrętowy

Oto opowieść przewoźnika z promu na Wieprzy z czasów, kiedy nie było jeszcze mostu.

Duch okrętowy, to dusza martwo urodzonego dziecka lub zmarłego przed chrztem – tak uważają marynarze i rybacy. Jeśli na grobie dziecka wyrośnie drzewo, które później jest użyte do budowy statku, to dusza dziecka żyje dalej na statku jako duch okrętowy.

Oko ludzkie bardzo rzadko może go zobaczyć. Jest wysoki na dwie stopy, nosi czerwony kubraczek, spodnie rybackie i duży okrągły kapelusz. Są też tacy, co mówią, że jest zupełnie nagi. W każdym razie jest aniołem stróżem dla statku i załogi. Jeśli statkowi grozi niebezpieczeństwo a kapitan śpi, to duch okrętowy czuwa. Skrada się do kajuty, szturcha kapitana tak długo, aż się nie obudzi i pójdzie sprawdzić, skąd ten niepokój.

Załoga o tym wie i kiedy z ładowni słyhać rumor, mówią „Słyszysz, znów tam jest”. Załoga chce z nim żyć w zgodzie, gdyż on w biedzie jej pomaga – na przykład przy silnym sztormie ściągać żagle i zarzucić kotwicę. Dlatego wieczorem stawiają mu talerz z jego ulubioną potrawą. Marynarze wiedzą, że kiedy talerz jest pusty, to duch im sprzyja.

Młodzi majtkowie nie wierzą w to, ale starzy marynarze ich szybko nawracają – na przykład przy ściągnięciu żagli zawsze mówią młodym: „Duch okrętowy ci pomoże”.

Duch tak długo pozostaje na pokładzie, póki wszystko jest dobrze. Kiedy statkowi grozi niebezpieczeństwo i nie ma ratunku, to wdrapuje się na top i skacze stamtąd do wody. Marynarze wiedzą wtedy, że statek zatonie i szukają ratunku.

Czasem można duszka okrętowego zobaczyć wieczorem między jedenastą a dwunastą. Przeważnie jest goły. Broń Boże – nie należy mu podrzucać spodni lub kaftanika, bo będzie wtedy bardzo zły i pomyśli, że chce się go wypędzić.

Dzwon w Starym Jarosławiu

Duży dzwon w Starym Jarosławiu zdobią trzy męskie postacie. W rękach trzymają symbole rolnictwa: widły do gnoju, kosę i cepy. Legenda mówi, że postacie przedstawiają księdza ze Starego Jarosławia.

Kiedy rządzą tu jeszcze książęta pomorscy, jeden z nich - książę Bogusław - jechał z Darłowa do Sławna drogą przez Stary Jarosław. We wsi spotkał człowieka w zgrzebnej koczuli wiozącego furę gnoju na pole. Okazało się, że jest to miejscowy ksiądz.

Książę powiedział, że nie powinien zajmować się takimi pracami.

Ksiądz odpowiedział, że musi pracować na roli, by móc utrzymać rodzinę.

Książę Bogusław podarował wtedy księdzu dodatkową włókę ziemi. I dlatego probostwo w Starym Jarosławiu jest dość bogate.

Dzwony w Krupach

Najstarszą częścią kościoła w Krupach jest wieża zbudowana w dolnej części z kamieni polnych. Na wieży znajdują się trzy dzwony. O pochodzeniu jednego z nich mówi ta legenda.

Mieszkańcy Kowalewic zamówili dzwon w Gdańsku. Został przewieziony statkiem do Darłowa, gdzie załadowano go na furmankę. Kiedy wóz dotarł do Krup, konie stanęły przy strumyku i nie chciały iść dalej. Na nic zdały się wysiłki mieszkańców Kowalewic.

Ksiądz z Krup po namyśle powiedział:

„Przed końmi stoi diabeł, który im grozi i dlatego nie chcą iść dalej. Jest to z pewnością znak, że dzwon powinien tu pozostać”.

I tak się stało. Dzwon pozostał w Krupach i został zawieszony na wieży kościelnej.

Flądra i jej krzywy pyszczek

Dziwny kształt flądry od dawna intrygował ludzi. Ale dopiero nowe badania naukowe pokazały powody, które wpłynęły na krzywy kształt pyszczka. Dawniej tego nie wiedzano, więc fantazja ludzka wymyślała różne historie. Na przykład taką:

Wszystkie zwierzęta wybierały sobie króla – leśne czworonogi wybrały niedźwiedzia, ptaki orła. Tylko ryby nie mogły się zdecydować i zazdrościły innym.

„Dlaczego nie mamy mieć króla? Czy jesteśmy gorsi od innych?” – pytał jesiotr.

„Czy jesteśmy mniej warci” – zastanawiał się łosoś.

„A może nasze mięso jest mniej smaczne?” – dodał śledź.

Po naradzie ryby postanowiły: „Zorganizujemy wyścig. Najszybszy będzie królem”. Wszystkie spotkały się w umówionym miejscu w Bałtyku, niedaleko falochronu darłowskiego portu. Zaczął się wyścig, ile sił w płetwach. Gromadę ryb najpierw opuściły leniwce, które nie miały zamiaru się zmęczyć. Do mety dotarł tylko śledź, który lubił pływać na długich dystansach. Został więc królem.

Flądra spóźniła się na start, gdyż popłynęła jeszcze do domu po fartuch. „Na pewno będę królem, więc nie mogę pokazać się naga”.

Przychodząc na start ze zdumieniem zobaczyła powracające ryby. Tylko śledzia nie było.

„Kto jest królem?” zapytała. „Śledź, śledź” – krzyczały ryby. Rozzłoszczona i pełna zazdrości flądra skrzywiła pyszczek i zawołała: „Co, ten goły śledź? Też ładny mi król ! Patrzcie na mnie – jaka jestem szeroka i postawna. Wybory są nieważne, gdyż ja nie popłynęłam z wami!”.

Wybory są ważne. Królem jest śledź” – odpowiedziały ryby. „Ty możesz stroić się w fartuch”. I tak się stało. Fartuch przyrósł do ciała flądry, tak że flądra ma jedną stronę jasną i musi pływać na boku. Jej zawistny pyszczek pozostał na zawsze krzywy.

Książę Jan Fryderyk w Starym Jarosławiu

Książęta pomorscy jeździli na łowy do lasów w pobliżu Starego Jarosławia. Dawniej las ciągnął się aż do wsi i obejmował także już nieistniejące jezioro i grób megalityczny, który był tak duży, że na górze wybudowano zamek myśliwski dla książąt.

Kiedy książę Jan Fryderyk polował tu w 1571 roku radni miejscy z Darłowa urządzili polowanie w lesie miejskim. Dwa upolowane kozły chciał im zabrać książęcy łowczy. Nie pozwolili mu na to, grożąc nawet batami. Łowczy poskarżył się księciu, lecz ten go zestrofował: „Do diabła, jak można komuś zabrać własność z jego terenu? Mnie też nie byłoby przyjemnie, gdyby zabrano mi moją własność”.

Księżna Zofia straszy

Matka księcia Bogusława X księżna Zofia nie zaznała spokoju w grobie, gdyż jej życie pełne było złych uczynków.

Jako „Biała Dama” straszy w wieży zamkowej. Przekonał się o tym darłowski opryszek, którego zamknięto w wieży. Gdy rano strażnik otworzył celę, znalazł więźnia nieprzytomnego ze strachu. Okazało się, że w nocy obudził się ze snu z dziwnym, niespokojnym biciem serca. Powietrze w celi było lodowate. Z jednej ze ścian wyszła wysoka, blada postać kobieca ubrana w bogate szaty i trzymająca srebrny świecznik. Lekkim krokiem przeszła celę i wniknęła w przeciwną ścianę. Za ścianą widoczne było wąskie przejście. Po przejściu biała dama ściana bezszelestnie zamknęła się.

Prawdopodobnie był to ganek prowadzący z wieży do mieszkania kapitana gwardii księżnej Jana Massowa, którego księżna Zofia darzyła uczuciem.

Więzień był tak przestraszony, że prosił usilnie o to, by nie zostawiać go dłużej w tej celi.

Wtedy rozniosła się wieść, że na zamku darłowskim straszy biała dama.

Legenda o Bogusławie i Hansie Langu

Żona księcia Eryka II księżna Zofia mieszkała z dziećmi w darłowskim zamku. Eryk zaś przebywał w swoim zamku w Wołogoszczy i daremnie czekał na jej przyjazd. Zofia dobrze czuła się w Darłowie i nie myślała o powrocie. Kilkuletnia rozłąka miała zły wpływ na ich małżeństwo.

Księżę Eryk zmarł w 1474 roku nie żegnając się ani z żoną, ani z dziećmi. Wszyscy, którzy go znali, mówili że był pięknym mężczyzną – wysoki, przystojny, a faliste, jasne włosy błyszcząły ni- by złoto w słońcu. I dlatego dziwili się niechęci księżnej Zofii do męża.

Księżna była zarozumiała i pewna siebie, gdyż to ona dała mu w wianie Pomorze i skarby księ- cia Eryka I. W dodatku romansowała z dowódcą gwardii Janem Massowem.

Eryk II miał trzech synów: Kazimierza, Warcisława i Bogusława (późniejszy Bogusław X) i pięć córek: Zofię, Małgorzatę, Katarzynę, Elżbietę i Marię. Z wyjątkiem Warcisława, który został u ojca, wszystkie dzieci przebywały z matką w Darłowie. Po całkowitej rozłące z mężem księżna znienawi- dziła swoich synów i zostawiła ich własnemu losowi. Jak inne dzieci mieszczańskie chodzili do szko- ły w Darłowie.

Nie obchodziło księżnej, czy wracali do zamku na posiłki lub na noc, czy też wałęsali się po uli- cach obdarci i bosci. Byłaby nawet zadowolona, gdyby w ogóle zginęli. Mieszczanie okazywali synom swego księcia wiele serca i mimo obaw przed srogą księżną, gdy mogli pomagali im.

Synowie księcia nie różnili się od dzieci mieszczan. Tylko Kazimierz był inny. Miał hardy cha- rakter matki i dlatego mieszczanie go nie lubili.

Ale był ktoś, kogo losy dzieci księcia Eryka mocno zaintrygowały – to Jan Lange, chłop ze wsi Łącko. Kiedy pewnego razu zobaczył obdartego księcia Bogusława, zapytał go: księżu Bogusławie, czemu nie masz butów i porządnej sukni? Czy matka ci nie daje?

Książę był mocno zdziwiony pytaniem chłopca i lekceważąco mu odparł, że go to nie powinno obchodzić. Na to Jan Lange odpowiedział: Bogusławie mnie to obchodzi, bo ty masz być moim panem. Przeto nie należy żartować, kiedy chłop z tobą rozmawia. Mógłbym ci przekazać daninę, za którą mógłbyś kupić nowe suknie. Ty i twoi bracia jesteście panami tej ziemi. Matka was nie chce, szlachta i mieszczenie nie troszczą się o was, przeto moim obowiązkiem jest wam pomóc, szczególnie tobie, gdyż ty masz szlachetną duszę. Chciałbym cię widzieć w dobrym odzieniu i dlatego poproszę matkę, byś mógł mnie przyjąć na służbę.

Bogusław dzięki pośrednictwu Jana Massowa uzyskał zgodę matki, która oddała chłopca Jana Lange swojemu synowi.

Jan Lange zaczął opiekować się chłopcem, kazał go ładnie ubrać i posłać do szkoły. Bogusław tak pysznił się nową suknią, jak gdyby była zrobiona z jedwabiu i złota. Wraz ze zmianą sukni zmienił także sposób bycia. Księżna Zofia kazała teraz uszyć nowe suknie Kazimierzowi, ale nadal nie dbała o synów. Za to Jan Lange dbał coraz bardziej. W międzyczasie zmarł książę Eryk, a wkrótce potem i Warcisław. Księżna Zofia mocno się teraz zatrzwożyła. Nie była pewna, czy chłopcy nie będą się chcieli zemścić na niej za brak troski. Pełna złych myśli uknuła plan otrucia ich. W stosunku do Kazimierza plan się powiódł – zmarł otruty przez matkę. Księżna zachowywała się teraz bardzo przyjaźnie w stosunku do Bogusława, chciała go nawet karmić, ale ten wyraźnie od niej stronił. Gdy pewnego razu księżna poczęstowała Bogusława pieczenią, błazen ostrzegł go.

Bogusław rzucił kęs psu, który po połknięciu zdechł.

Jan Lange namówił swego pana do ucieczki. Wyposażył go: dał mu miecz i konia i osobiście odwiózł go do znajomego szlachcica. Cała szlachta pomorska stanęła u boku swego przyszłego pana i pojechała z nim na darłowski zamek. Gdy księżna Zofia dowiedziała się o rychłym przyjeździe syna, zabrała wszystkie skarby i uciekła z Janem Massowem do Gdańska. Książę Bogusław postanowił jej nie ścigać.

Bogusław chciał suto wynagrodzić Jana Langego, ale ten nie przyjął nagrody. Prosił tylko o jedno: chciał być zwolnionym z wszelkich danin. Książę na to przystał.

Legenda o kościele św. Gertrudy

Kościół św. Gertrudy na darłowskim cmentarzu jest jedną z nielicznych tego typu budowli w zachodniej części Europy. Widać tu wyraźnie wpływy gotyku skandynawskiego. Czas powstania, jak i nazwisko budowniczego są nieznane. Ale o powodach zbudowania świątyni mówią dwie legendy.

W dawnych czasach na Bałtyku szalał potężny sztorm. Fale były wysokie jak domy i wody morskie sięgały aż do górki, na której dziś jest cmentarz. Jakiś statek dryfował w stronę Darłowa. W każdej chwili fale mogły go rozbić o brzeg. Wśród pasażerów znajdowała się duńska księżniczka Gertruda. W obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa modliła się do Boga i przysięgała, że jeśli zostanie uratowana, to w miejscu lądowania wybuduje kościół. Statek zatrzymał się na łakach koło górki cmentarnej.

Księżniczka Gertruda dotrzymała słowa i na najwyższym miejscu wybudowała kościółek.

* * *

Druga legenda brzmi tak: Księżna Gertruda spędziła lata młodości na zamku w Kamieniu Pomorskim, a dopiero jako dorosła dama przeniosła się na darłowski zamek do księcia Bogusława, krewnego ze strony matki. W tym samym czasie na zamku bawili Ryszard i Wilhelm, krewni księżnej, którzy chcieli ją poślubić. Starszy Wilhelm miał charakter gwałtowny i namiętny, co nie podobało się Gertrudzie. Księżna wolała łagodnego Ryszarda. Pewnego pięknego, słonecznego poranka Gertruda stała na zamkowym balkonie słuchając śpiewu słowików.

Pełna radości rzuciła przechadzającemu się po ogrodzie zamkowym Ryszardowi różę w dowód wdzięczności za przemiłe pozdrowienie. Wilhelm zauważył niewinny gest i od tego czasu pałał nienawiścią do brata.

Pełen zazdrości wezwał Ryszarda na pojedynek pod balkonem Gertrudy. Ryszard zgodził się, ale nie w ogrodzie zamkowym tylko przed bramą miejską Stargardu. Z uczuciem trwogi czekali i Gertruda i Ryszard na nieszczęsny pojedynek. Wieczorem przed walką bracia pojechali do Stargardu różnymi drogami. Rano spotkali się przed bramą miasta. Wilhelm nie słuchając słów brata o pojednaniu przebił go mieczem. Dopiero kiedy Ryszard leżał martwy Wilhelm oprzytomniał.

Tak przeląkł się swojego haniebnego czynu, że własnoręcznie przebił się mieczem.

Gertruda nie mogła zapomnieć o strasznym wydarzeniu. Każdej nocy śnili jej się bracia i namawiali ją do podróży do Świętego Grobu. W końcu kazała wyposażyć statek i razem z dwiema damami dworu i kasztelanem zamkowym wyruszyła do Jerozolimy. Po gorących modlitwach o spokój duszy braci wróciła do domu. Kiedy statek był już blisko Darłowa rozpętała się straszna burza. W obliczu śmierci Gertruda ślubowała wybudować kościół, jeśli uratuje się z opresji. Mocno uszkodzony statek osiadł na górze koło cmentarza. Gertruda dotrzymała słowa, o czym świadczy stojący do dziś kościół.

Muzykant i wilk

Przed laty żył w Domasławicach koło Darłowa muzykant, który pięknie grał do tańca, często także na weselach. Podczas zabawy w Krupach wypił za dużo żytniówki i mocno pijany ruszył w drogę do domu. Po drodze się przewrócił i wpadł do głębokiej dziury. Kiedy się podniósł zobaczył przed sobą dwa duże zielone oczy. Domyślił się, że to wilk. Ten także nie mógł wyjść z dołu. Muzykant drżał ze strachu myśląc, że wilk go zje. A strzelba została w domu. Z czasem się uspokoił i zaczął dąć, jak mógł najgłośniej w swój róg. Wilk wył jeszcze głośniej. Tę dziwną muzykę usłyszał darłowski leśniczy. Przyśzedł ze swoją flintą i ustrzelił wilka. Następnie wyciągnął biednego muzykanta z dołu.

Niepodniesiony skarb ze Starego Jarosławia

W Starym Jarosławiu znajduje się ukryty skarb jeszcze z czasów szwedzkich. Chłopi ukryli swoje kosztowności i pieniądze w dużym kotle i wpuścili go do głębokiej studni, gdzie dotąd leży. Starzy chłopci wiedzieli gdzie ta studnia się znajduje. Często próbowano podnieść skarb, ale bez skutku. Przeszkadzał zazdrosny i zły czart.

Kiedyś w nocy 1 maja grupa odważnych chciała wydobyć skarb. Ubili czarnego koguta i jego krew wpuścili do studni. Legenda mówi, że to właśnie ta krew miała podnieść kocioł ze skarbem. Trzeba go było tylko złapać, mocno trzymać i wyciągnąć nie mówiąc przy tym ani jednego słowa. Gdyby ktoś coś powiedział, to skarb by zginął.

Wszystko szło bardzo dobrze. Widzieli już kocioł niemal na powierzchni. Ale nagle głęboką ciszę przerwał zgiełk i dziwny hałas. Stara kobieta – wiedźma utykając i podpierając się kulami, wyszczerzała poźółkłe zęby i zawołała: „Dzień dobry! Czy dostanę jakąś dolę?” Chłopi nie zwrócili uwagi i nadal milczeli. Nagle od strony cmentarza pojawił się duży wóz zaprzęgnięty w gęś. Jeden z chłopów nie wytrzymał i krzyknął: „Do diabła, to jest mocna sztuka!” W tym samym momencie kocioł, który już prawie był w ich zasięgu utonął w studni ponownie. Razem z nim ulotniła się także wiedźma i wóz z gęsią. Słysząc było tylko diabelski śmiech, który rozlegał się z głębi studni i w całej otaczającej ich przyrodzie.

9 odmeldowywaniu

Dusza zmarłego błąka się po ziemi tak długo, aż ciało zostanie złożone do grobu. Dlaczego tak jest? Zmarły musi sam poinformować krewnych i bliskie mu osoby o swojej śmierci. Ma się odmeldować!

Chłop z ulicy Karwickiej w Darłowie siedział w oknie szopy koło ogrodu i filował na zające, które co noc zjadały mu kapustę. Chciał przestraszyć nieproszonych gości. Ale sam stał się ofiarą niesamowitego zdarzenia. Był srogo zimny wieczór, księżyc świecił jasno, a śnieg błyszczał. Nagle usłyszał głośne chodzenie po podwórku, jakby robotnik chodził w długich butach pełnych wody. Kroki zatrzymały się przed szopą. Słuchać było jęczenie, ale nikogo nie było widać. Chłop się mocno przestraszył i bliski omdlenia z trudem dotarł do domu. Rano dowiedział się, że jego pracownik utopił się w nocy przy pobliskiej śluzie.

Było to w czasie, kiedy on słyszał te niesamowite kroki na podwórzu. Wtedy to dusza zmarłego przyszła zameldować o swojej śmierci!

Potwór morski

W dawnych czasach, kiedy jeszcze nie było statków parowych, z Indii do Darłowa płynął żaglowiec nie zatrzymując się po drodze w portach, gdyż niesprzyjające warunki wietrzne na to nie pozwalały. Załoga przez długie tygodnie nie widziała lądu. Aż tu nagle pojawiła się wyspa, której nie było na mapie. Z wielką ciekawością wsiadano do szalup i popłynięto na ląd. Wyspa okazała się długa, płaska bez zarośli i zwierząt. Po jej zwiedzeniu głodni marynarze postanowili rozpałcić ognisko. Przynieśli drzewo z łodzi i rozpalili ogień. Wtedy zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Wyspa zaczęła się poruszać, kurczyła się i rozkurczała. Wysokie jak domy fale zatopiły łodzie i marynarzy. Nie było ratunku. Okropne i długie macki obejmowały wszystko i ściągały w morską toń. To, co wyglądało jak wyspa było olbrzymią, śpiącą ośmiornicą, która została obudzona ciepłem z ogniska. Marynarze, którzy zostali na statku nie byli w stanie udzielić kolegom pomocy, gdyż morze było wzburzone przez silne ruchy macek ośmiornicy.

Tak opowiadał jeden z uratowanych marynarzy.

Przerwana gra w karty na wieży Kościoła Mariackiego

Dawno temu wieża kościoła mariackiego w Darłowie była wyższa niż dzisiaj. Nad dzwonami znajdowało się jeszcze pomieszczenie dla strażnika wieżowego. Siedząc na górze bardzo często się nudził. Umawiał się więc z szewcem i krawcem na grę w karty. Ilekroć się nudził, wywieszał w okienku dachu czerwoną latarnię. To był ich umówiony znak.

Pewnego jesiennego wieczoru, kiedy sztormowy wiatr hulał wokół wieży, strażnik wywiesił czerwoną latarnię. Nie trwało długo, a towarzysze zasiedli wokół stołu i rozpoczęli grę w karty. O każdej pełnej godzinie strażnik przerywał grę i dokonywał obchodu patrząc przez cztery okienka w cztery strony świata, czy gdzieś właśnie się nie pali. Widział tylko czarną noc. Tak było i o dwunastej.

Kiedy zegar wybił dwanaście razy obchód był skończony i grę można było kontynuować. Nagle usłyszeli z dołu hałas, ktoś powoli wchodził po schodach, potykając się nogą o każdy stopień.

„Kto jeszcze tak późno tu idzie?” – zapytał niezadowolony strażnik.

Gdy drzwi się otworzyły i stanął w nich nieznanym gościem w brązowym jak kawa fraku.

„Oto jestem, wołałście mnie” – odpowiedział.

Trójka graczy nie mogła sobie przypomnieć, aby kogokolwiek wołała. Krawiec co prawda przed chwilą powiedział: „Jeśli teraz nie wygram, niech mnie diabeł porwie”. Przegrał, ale o tej wypowiedzi nikt nie pamiętał.

Strażnik zaprosił przybysza do gry: „Jeśli już wlałeś na wieżę, to siadaj i dotrzyмай nam towarzystwa”. Zaproszenie brązowo ufraczony przyjął i nawet mając najgorsze karty wygrywał.

Po pewnym czasie krawcowi spadła karta na podłogę. Kiedy się schylił zobaczył, że przybysz miał końskie kopyta. Nareszcie zrozumiał, kim był ten tajemniczy gość. Krawiec ze strachu upuścił wszystkie karty i zaczął się modlić. Przypomnił sobie stare porzekadło przeciw urokowi: „Duchy piekła, plemię szatańskie, wynoście się, nic tu po was”.

Pomogło! Po głośnym wybuchu uniósł się śmierdzący dym i nieproszony przybysz zniknął. Strażnik wieżowy odtąd wieczory spędzał sam. Jego towarzysze: krawiec i szewc zbyt się bali.

Szczurołap z Hameln

W 1284 roku pojawił się w Hameln przedziwny człowiek ubrany w kolorowy, bardzo jaskrawy surdut. Mieszkańcy miasteczka nadali mu przezwisko surduczek.

Przedstawił się jako szczurołap i za niewygórowaną opłatę zobowiązał się wyprowadzić z miasta szczury i myszy, które były zmorą mieszkańców. Mieszczanie po naradzie zgodzili się go zatrudnić za uzgodnioną sumę.

Wtedy szczurołap wyjął z kieszeni flet i zaczął pięknie grać chodząc ulicami Hameln. Słyszac muzykę szczury wychodziły z domów i zbierały się wokół grajka. Gdy wszystkie wyszły z ukrycia flecista wyszedł z miasta, a szczury podążały za nim. Ten dziwny pochód dotarł do Wezery. Szczurołap wszedł do rzeki a za nim wszystkie szczury i myszy. Sam wyszedł z wody, ale zwierzęta się potopiły.

Radość mieszczan była wielka – pozbyli się plagi szczurów, ale o zapłacie szczurołapowi ani myśleli. Zdenerwowany i rozgoryczony szczurołap opuścił miasto. Po jakimś czasie – 26 czerwca po dniu Jana a przed dniem Pawła – wrócił o świcie. Był w stroju myśliwego w dziwnym czerwonym kapeluszu i pięknie grał na flecie. Muzyka spowodowała, że z domów wyszły dzieci – chłopcy, dziewczynki, młodzież, a także dorosła już córka burmistrza. Gromadnie szli za nim i dźwiękami fletu i doszli do pobliskiej góry. Tu ślad po szczurołapie i gromadzie dzieci się urwał.

Wszystko to widziała spacerująca z dzieckiem niania. Szybko wróciła do miasta i opowiedziała, o tym co zobaczyła. Zmartwieni i smutni rodzice dzieci wyszli za bramę w ich poszukiwaniu. Lament i płacz był wielki, ale mimo poszukiwań 130 dzieci nie odnaleziono. Dwójka dzieci wróciła, ale ich powrót nie pozwolił rozwiązać zagadki, gdyż jedno było niewidome a drugie nieme. Pierwsze nie potrafiło wskazać miejsca, a drugie nie potrafiło nic powiedzieć.

Ocalał tylko jeden chłopiec, bo wrócił po płaszczyk, którego zapomniał ubrać i nie zdążył dołączyć do grupy.

Jedna z wersji legendy związana jest z ziemią darłowską. Szczurołap wraz z dziećmi dotarł do Szczecina, a następnie statkiem dopłynął do Kołobrzegu i stamtąd udał się do Darłowa. Z Darłowa wraz z dziećmi dotarł do Kopania, gdzie była siedziba joannitów. Gospodarstwo mnichów znajdowało się na płaskim wzgórzu. Tu dzieci musiały pracować w majątku. Później słuch o nich zaginął. Podobno zostały pochowane na wzgórzu.

Było to pierwsze w dziejach wywiezie na roboty przymusowe.

Upiorne wilki koło Ruska

Niedaleko Darłowa, w lasach koło Ruska, szczególnie nocą, grasowały wilki. Tylko przed Bożym Narodzeniem nie straszyły ludzi. Takie szczęście spotkało mieszkańca Ruska. Na drodze z Darłowa do domu spotkał dużą sforę tych potworów. Nie biegały dziko wokół, jak to zwykle czynią, tylko szły jeden za drugim, nie wyjąc w kierunku mieszkańca Ruska. Czarna zgraja na tle białego śniegu wyglądała strasznie. Włosy biedakowi się zjeżyły. Widząc ogniste ślepie pierwszej bestii szybko wdrapał się na najbliższe drzewo. Drżał cały, obejmował drzewo czując ciepły oddech zwierza. Myślał, że ostre kły wilków wbiją się w jego ciało, tymczasem wilk się odwrócił i pobiegł dalej, tak samo zrobiły pozostałe. Bardziej martwy niż żywy wreszcie dotarł do domu. Od tego czasu przysiągł sobie, że już nigdy nie będzie tak późno wracał z miasta.

Widmo przy moście koło Cisowa

W Cisowie koło Darłowa mieszkańcy w celach towarzyskich spotykali się w gospodzie. W dużej sali mężczyźni grali w karty, kobiety siedziały w magazynku i opowiadały historyjki o duchach.

Jedna z nich opowiedziała taką historię.

„Mój dziadek idąc nocą - między dwunastą a pierwszą - doszedł do mostu słupskiego. Nagle zauważył, że coś siedzi mu na karku. Ciężkie to było jak 100 funtów i tak mocno ścisnęło, że nie mógł iść dalej. Wolno stawiał jedną nogę za drugą, bo to coś trzymało go coraz mocniej. Gdy doszedł do krzyżówki, to coś, jak gdyby nigdy nic, zniknęło.”

Inna z kobiet opowiedziała taką historyjkę.

„Wujek mojej matki jechał kiedyś z miasta tą samą drogą. W tym samym miejscu wskoczył na wóz nagi chłop mówiąc: Nie dziw się, że jestem nagi! Ty też niedługo będziesz chodził nagi, bo wkrótce nadejdzie koniec świata!”

Babcia pilnie słuchała, a następnie powiedziała. „Tam straszy, to stara historia. Kiedy jeszcze chodziłam do szkoły, to przy moście słupskim zabito kupca zabierając mu wszystkie pieniądze. Mój ojciec go znał. Od tego czasu tam straszy. Czarnego psa o trzech nogach także już tam widziano”.

Wigilia w kościele

Dawniej był zwyczaj, że w pierwszym dniu Bożego Narodzenia odprawiano uroczystą wczesną mszę poranną. Na zewnątrz była jeszcze ciemna noc, a kościół rozjaśniał blaskiem z setek świec. Tworzyło to niezwykle nastrój. Po mszy w domu czekały pięknie ubrane choinki. Dzisiaj już tego pięknego zwyczaju nie ma. A szkoda !

We wsi w pobliżu Bukowa stara samotna wdowa kładła się spać z myślą pójścia na poranną mszę świąteczną. Zasnęła. Nagle obudziła się i zobaczyła jasno oświetlone okna w kościele. Szybko wstała, narzuciła płaszcz i pośpieszyła do rozjaśnionej światłem świątyni. Tu wszystkie ławki były zajęte przez nieznaną jej ludzi. Po chwili poznała jednak prawie wszystkich siedzących. Byli to zmarli mieszkańcy wioski. Obok zobaczyła kobietę, która zmarła tydzień temu, a teraz dawała jej znaki, by szybko opuściła kościół. Pełna strachu wybiegła, a za nią podążyli z groźnymi gestami wszyscy uczestnicy mszy.

Kobieta dobiegła do drzwi, ale setki rąk próbowały ją złapać i zerwać jej płaszcz z ramion. Dopiero poza murem cmentarza puściły ją śmiertelne ręce. Zmęczona, prawie bez tchu dobiegła do domu i opadając na krzesło usłyszała uderzenie dzwonu z kościelnej wieży. Wybiła godzina pierwsza i razem z biciem dzwonu wdowa zmarła.

Następnego dnia udający się na mszę zobaczyli na śniegu wokół kościoła i na mogiłach strzępy jej płaszcza.

Wolnomularze w Darłowie

Niedaleko zamku stoi na brzegu Wieprzy okazały dom, w którym mieściła się przed stu laty loża masońska. Wolnomularstwo jest od wieków owiane tajemnicą. Przypisuje się mu ukryte ponadludzkie siły i nadprzyrodzoną moc czynienia cudów.

Tu, w starej loży darłowskiej, były trzy kolorowe pomieszczenia: żółte, niebieskie i czarne. Obsługa domu miała dostęp jedynie do sali żółtej, która była przedpokojem do amfilady. Wszelkie posiedzenia, także spotkania świętojańskie, odbywały się w sali niebieskiej. Tu wisiały portrety i herby członków loży. Wśród nich byli zamożni kupcy, kapitanowie licznie przybywających statków, bogatsi właściciele majątków ziemskich i administratorzy majątków państwowych. W sali czarnej stała jedynie gwoździami naszpikowana trumna. Podczas przyjęcia nowego członka loży kandydat musiał położyć się do trumny. Odziany w długą białą koszulę musiał wysłuchać statutu stowarzyszenia i złożyć przysięgę, że dotrzyma wierności, będzie przestrzegał regulaminu i nie zdradzi tajemnic loży. Gdy Wielki Mistrz Loży czytał przysięgę, dwaj wtajemniczeni członkowie trzymali nad leżącym w trumnie dwa skrzyżowane miecze i trupią czaszkę.

Wśród ludności krążyły plotki na temat tajemniczych spotkań braci masonów. Wścibski pomocnik kominiarza wdrapał się pewnego dnia na drabinę, aby przez szparę w zasłonie podglądać ceremonię przyjęcia nowego członka loży. To, co zobaczył, tak go przestraszyło, że spadł z drabiny i skręcił kark.

Żona darłowskiego kupca była bardzo zaniepokojona tym, że jej mąż należy do tego tajemniczego bractwa. Poszła więc do Wielkiego Mistrza po radę. Po wielu prośbach ten wprowadził ją do niebieskiego pokoju przed portret męża, mówiąc: „Jeśli chcesz, żeby mąż był wolny, to wbij szpilkę w ten obraz, a będzie uwolniony”. Kobieta to zrobiła. Kiedy wróciła do domu mąż leżał martwy na sofie ze sztyletem wbitym w ciało w tym miejscu, w którym na portrecie umieściła szpilkę.

Wolnomularze mają także dar bycia w dwóch miejscach jednocześnie. Jeśli jednak mason zobaczy swego sobowtóra, musi umrzeć.

Taki dar miał także administrator majątku spod Darłowa. Często, kiedy widziano go jadącego do miasta, niespodziewanie pokazywał się wśród niedbale pracujących pracowników folwarku. Nie mówiąc ani jednego słowa, jak duch pomału przechodził przez grupę i znikał.

Administrator pokazał się także wyrobnikowi, który zamierzał ze spichlerza ukraść zboże. Wyrobnik zobaczył pana patrzącego wnikliwie na to, co miał za chwilę zrobić. Tak się przestraszył, wiedząc że jego pan właściwie miał być gdzie indziej, że zostawił worek i latarkę, zeskoczył ze strychu i uciekł.

Wolny strzelec w lesie miejskim

Darłowski las miejski był kiedyś o wiele większy, sięgał od granicy z Krupami aż do Zielnowa. Darłowianie paśli pod dębami i bukami świnie. Lasu pilnował leśniczy i dwóch drwali. Mimo dużej liczby wilków mieszkańcy kradli drewno i kłusowali. Zdarzało się, że strażnicy leśni byli z nimi w zmo-wie. Do dziś chodzi wieść, że za jeden litr samogonu można było zabrać ile się chciało drewna. Kiedy jednak chodziło o drewno budowlane, to kilku mieszkańców grało w karty i piło ze strażnikami, a w tym czasie inni ścinali drzewa i zaraz je wywozili. Las miejski nie przynosił dochodu, dlatego go wydzierżawiano okolicznym wioskom. Za oddanie na przykład kilku tuzinów wróbli nie trzeba było opłacać dzierżawy, gdyż zwierzyny nie było dużo, a szkodliwych wróbli tak.

Jednak po wojnie siedmioletniej sytuacja się zmieniła. Miasto zatrudniło nowego leśniczego. Ten był tak pracowity i uczciwy, że udało mu się zlikwidować kradzieże drewna i kłusownictwo. Ludzie obserwowali jego poczynania z dużą obawą. Myśliwy miał niespotykane szczęście przy łowach. Nazwano go „wolnym strzelcem”. Umiejętność wolnego strzelca uzyskał podobno przez przyjmowanie komunii świętej w Wielki Piątek. Hostię trzymał w ustach tak długo, aż znalazł się w lesie i mógł ją przygwoździć na drzewie. Poza tym posiadał magiczną księgę, którą często czytał. Mówiono, że zwierzyna z lasu miejskiego została przez niego zaczarowana. Jelenie, sarny, dziki, w ogóle wszystkie zwierzęta, przychodziły pod jego dom, a on mógł je ustrzelić. Magiczną księgę trzymał pod kluczem. Pewnego razu leśniczy zapomniał o schowaniu swego skarbu. Pomocnik drwała zaczął czytać księgę. W tym czasie dookoła leśniczówki gromadziła się leśna zwierzyna. Zbliżyła się do domu, tak jakby chciała wejść do środka. Gdy chłopiec zobaczył dużą liczbę jeleni, saren, lisów coraz bliżej domostwa ogarnął go lęk.

Nagle leśniczy stanął na środku pokoju wyrwał z rąk chłopca księgę i zaczął czytać wstecz. I tak, jak zwierzyna przyszła, tak szybko wróciła do lasu. Leśniczy zabronił chłopcu pod karą śmierci ponownie zaglądać do tajemniczej księgi. O „wolnym strzelcu” mówiono także, że gdy chciał upolować zwierzynę, to strzelał w górę przez komin. Następnie szedł do lasu w pewne miejsce i znajdował zwierzę, o którym wcześniej pomyślał.

Zasypany orszak weselny

Na ziemi darłowskiej znana jest legenda mówiąca o tym, że w dawnych czasach niedaleko plaży zasypany został przez śnieg cały weselny orszak. Na drugi dzień po odgarnięciu olbrzymiej masy śniegu ukazał się straszny widok. Kobiety siedziały w swoich uroczystych szatach na saniach, a mężczyźni stali wyprostowani obok koni.

Zmarły prosi o swoją własność

Pewnego dnia podczas wyprowadzania zwłok z kościoła na cmentarz, na rynku odpadł uchwyt z trumny. Kobieta idąca w kondukcje podniosła zgubę, zabrała do swego domu i położyła na parapecie. Kiedy w nocy usłyszała stukanie do okna, wstała, ale mimo pełni księżyca nikogo nie zobaczyła. Pukanie powtórzyło się kilkakrotnie. Na drugi dzień opowiedziała o tym swojej sąsiadce. Kiedy ta zobaczyła uchwyt z trumny na parapecie powiedziała: „To jest własność zmarłego i on po swoją własność przychodzi. Jeśli chcesz mieć spokój, zanieś uchwyt natychmiast do kostnicy na cmentarzu, aby go umocowano na trumnie”.

Kobieta to uczyniła i od tej pory pukanie do okna się nie powtórzyło.

Zmarły straszy na drodze z Żukowa Morskiego do Dąbek

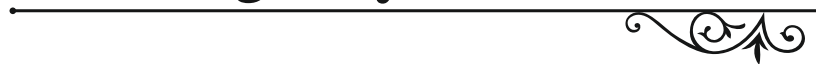
Kiedyś grabarz z Żukowa Morskiego szedł do Dąbek, by zawiadomić o śmierci jednego z mieszkańców i zaprosić na jego pogrzeb ludzi.

Zmarły nie był dobrym chrześcijaninem, srodze przeklinał i wyrażał się obelżywie o Bogu, czym wywoływał publiczne zgorszenie. Także często w niedzielę pracował, a ponieważ był kowalem, cała wieś słyszała uderzenia młota. W połowie drogi do Dąbek grabarz spotkał zmarłego. Ten zaczął iść obok niego milcząc. Drżąc ze strachu, grabarz przystanął, zamknął oczy, lecz zmarły dalej mu towarzyszył.

Wtedy przyspieszył kroku i zaczął biec tak szybko jak tylko mógł, a w strachu człowiek może wiele. Ale zmarły dalej był przy nim. Dopiero przed Dąbkami zjawa zniknęła. Po tym zdarzeniu grabarz zachorował i przez kilka dni nie opuszczał domu.

Podobno bezbożny kowal do dziś jeszcze straszy.

Legendy z Malechowa



Co dzwoni na szosie do Kręgu

W lesie za wioską Chomic zaraz po przekroczeniu Grabowej krzyżują się szosy. Południowa prowadzi do Kręgu. To miejsce nazwane zostało „dzwonkówką”. Przed laty stał tu dom celny. Kto przejeżdżał tędy nocą musiał dzwonić do drzwi, by zbudzić celnika. Stąd ta nazwa.

Cztery historie z wilkami z 'Wiekowa

Chłop Christian Rubow (1812-1890) chętnie opowiadał historie z lat młodości, zwłaszcza o polowaniach na wilki.

1. Małorolni chłopcy musieli wykonywać obowiązkowo różne prace na rzecz swojej wsi, także przy przygotowaniach do polowań na wilki. Najpierw wszystkich zawiadamiano. Następnie linami i szmatami zaznaczano teren łowu i różnymi sposobami hałasowano, aby wywabić wilki z kryjówek. Pomocnicy gonili zwierzęta w kierunku dużej sieci zakończonej deskami, które działały jak zapadki lub duże łapki na myszy. Sieć umocowana była w głębokim dole do którego wpadał wilk. Tu już łatwo było go ubić.

W 1830 roku także Christian Rubow brał udział w polowaniu na wilki. Gdy zwierzę leżało w dole zobaczono wnyk do łapania wilków dookoła jego nosa. Widocznie zdołał się wyrwać z takiej pułapki. Widząc żelastwo na nosie wilka jeden z chłopów krzyknął: „Patrzcie, on nosi okulary!”

2. Pewnej zimy przed gwiazdką żona Jürgena Rubowa razem z córkami przygotowywały ciasto w piekarni. Nagle zobaczyły dużego wilka, który zaglądał przez drzwi. Gdy go odganiały, ten nie spiesząc się odszedł w kierunku domu. Tam go później znalazły śpiącego za miską z ciastem. Obudzony wilk wreszcie wyniósł się do lasu.

3. Torfowiska nad Grabową dawniej były ogrodzone, by zwierzęta domowe nie wpadały do dziur, które powstały po kopaniu torfu i nie utonęły. Kiedyś rano chłop Plath zobaczył swoje konie, a było ich siedem, jak pędziły za wilkiem w kierunku torfowisk. Wystraszony Plath popędził za nimi w obawie, że konie zginą. Na szczęście wrota w płocie były pozamykane, a konie stały i głośno parskały za wilkiem. A miałyby on smaczną ucztę i to na długo, gdyby konie utonęły.
4. Ostatniego wilka widziano na polu chłopca Christiana Schmidta z Wiekowa. Schmidt orał, a niedaleko pasło się bydło. Każda krowa nosiła na szyi dzwonek. Nagle usłyszał głośne dzwonienie. Krowy utworzyły koło z rogami na zewnątrz, a wilk biegał w koło. Gdy pastuch dobiegł, wilk uciekł.

W ostatniej kurnej chacie Wiekowa jeszcze długo wisiała w kominie szynka z wilka na odstraszenie złych mocy.

Diabelski kamień z Białęcina

W białęcimskim lesie niedaleko skrzyżowania dróg leży diabelski kamień. Przed wielu laty pewien handlarz świń szedł ze swoim znajomym przez ten las. Handlarz miał przy sobie dużo pieniędzy, o czym powiedział znajomemu. Przy dużym kamieniu znajomy rzucił się na niego i zaczął go bić. Handlarz prosił: „Daruj mi życie, mam żonę i dziecko, my się przecież znamy”.

„Właśnie dlatego zginiesz, żebyś mnie nie zdradził” – odparł znajomy. Morderstwo zostało jednak wnet odkryte, a morderca schwytany. Za swój nieczyn został skazany na łamanie kołem.

Diabelski kamień koło Pękanina

Na drodze kościelnej z Pękanina do Dąbrowy leży duży głaz z różnymi odciskami. Wyglądają one jak odciski końskiego kopyta, kociej łapy i dziecięcej nóżki. Podobno podczas nocy sylwestrowej tańczy na tym głazie diabeł.

Diabeł jako czarny pies koło Sulechowa

Przy drodze z Sulechowa do Sierakowa stoi w sosnowym lesie samotna chałupa zwana „chatą sów”. Mieszkanka chaty po niedzielnej mszy w Sulechówku poszła odwiedzić swoją siostrę w Sulechowie. Tam dowiedziała się, że w niedziele we wsi są tańce. „To jeszcze dzisiaj będę tańczyć – powiedziała – w najgorszym wypadku z diabłem”.

W drogę powrotną po tańcach ruszyła, gdy była już ciemna noc. Zauważyła, że przed nią biegnie czarny pies zachowując zawsze ten sam odstęp. Pomyślała, że to może jej pies i zawołała go. W lesie pies zniknął.

Kiedy kładła się spać usłyszała rumor pod łóżkiem. Ze strachu leżała cichutko nie ruszając się. Rano zobaczyła, że miska z jedzeniem jest pusta. To mógł być tylko zły.

I rzeczywiście. Diabeł dokazywał całymi nocami, tak że domownicy przenieśli łóżka do innego pokoju. Ale i to nie pomogło. Dopiero nieustanne modlitwy przegoniły diabła.

Jak Malechowo zostało zwolnione z podatku na rzecz Bukowa Morskiego

W Zielenicy stała twierdza należąca do rycerza Kunza von Platena. Przez długie lata prowadził on spór z przełożonymi klasztoru w Bukowie Morskim. Opat oblegał twierdzę i długo męczył mieszkańców. Nie widząc wyjścia z sytuacji żona rycerza poprosiła opata, by darował jej życie, pozwolił wolno opuścić twierdzę i zabrać tyle rzeczy, ile udźwignie. Opat na to przystał. Wtedy kobieta wzięła męża na plecy i uciekła.

Mieszkańcy Malechowa, także poddani opata, kiedy dowiedzieli się o fortelu, zaczęli się na rycerza i jego żonę. Rycerz z rozpaczą wskoczył do dołu torfowego. Malechowianie wyciągnęli go i razem z żoną zaprowadzili do klasztoru bukowskiego. Opat podziękował wieśniakom za pomoc i podarował im na zawsze wolność i niezależność.

Jak ustalono granicę między Ostrowcem a Janiewiczami

Dawno temu w dolinie Strumyka Rakowego były rozległe mokradła ciągnące się od Janiewicz do Ostrowca. Między wioskami nie było granicy. Z czasem wieśniacy pomyśleli jednak o jej wytyczeniu. Na spotkaniu zebrali się w pobliżu Ostrowca. Granica miała przebiegać przez środek mokradła, ale ponieważ nikt nie potrafił powiedzieć jakie jest duże, postanowiono je zmierzyć. Za radą cwane go chłopca najwyższy mężczyzna z Ostrowca miał w długich butach wejść w bagnisko tak daleko jak się da i tam postawić słupek, a następnie rzucić kamieniem w kierunku Janiewicz. W miejscu upadku kamienia przebiegać miała granica. Mieszkańcy Janiewicz po wahaniach przyjęli propozycję i podpisano umowę. Po latach, kiedy osuszono bagno okazało się, że część należąca do Janiewicz jest znacznie większa od tej, która należała do Ostrowca. Radość janiewiczów była ogromna, bo przecież umowa jest umową.

Niesamowite polowanie koło Ostrowca

Ostrowiec okalają ciemne lasy. Jesienią odbywają się tu niesamowite polowania. Po zupełnej ciszy, nagle zrywa się gwałtowny wiatr. Gałęzie pękają, łamią się, ale nie spadają na ziemię. W powietrzu słychać dziką wrzawę i głośne krzyki. Nic jednak nie widać. Po chwili znów nastaje cisza. Niesamowite polowanie się skończyło.

Skarb z Paprot

W Paprotach żył dawno temu bardzo bogaty chłop. Pieniądze i kosztowności schowane miał w workach. Kiedyś nocą do domu wdarli się złodzieje. Jeden z nich wszedł do środka i podawał drugiemu worki przez okno. Nagle zauważył, że ten za oknem zniknął wraz z workami. Przestraszył się, złapał tyle worków ilu mógł udźwignąć i uciekł w ciemną noc. Po drodze wszystko zakopał.

Wyrobnik z Paprotek po latach znalazł skarb i zawiózł go na taczce swemu panu w Żegocinie. Otrzymał nagrodę, która mu jednak szczęścia nie przyniosła. A dziedzic za znaleźne kupił nowe ławki do kościoła.

Spór o las

W miejscu gdzie stykają się granice wsi Janiewice, Ostrowiec i Kosierzewo jest laszek nazwany „Laskiem niezgody”.

Dawno temu las nie miał właściciela. Mieszkańcy okolicznych wiosek zbierali w nim chrust i jagody. Często jednak zdarzały się przy tym kłótnie i bijatyki nieraz kończące się w sądzie.

Na jednej z rozpraw sąd postanowił, że na własność otrzyma las ten, kto będzie mógł zaświadczyć, że stoi on na jego ziemi.

W Ostrowcu mieszkał wówczas bardzo przebiegły myśliwy, który chciał pozyskać las dla swojej wsi. I wymyślił fortel. Ziemię z lasu wsypał do swoich butów. Kiedy sędzia zapytał na czyjej ziemi stoi las, leśniczy przysięgł, że stoi na jego ziemi. I tak Ostrowiec wszedł w posiadanie lasku.

Zaczarowany kot z Malechowa

Niedaleko Malechowa leży kilka pojedynczych gospodarstw, tak zwana reduta. Droga do niej prowadzi przez głęboki jar. Kiedyś zimą szła tędy wieśniaczka z workiem pełnym chleba. Było bardzo mroźno, a śnieg sięgał jej po kolana. Pośrodku jaru żałośnie miauczący kot przeciął jej drogę. Pełna litości kobieta zabrała biednego kota do worka z chlebem. W domu okazało się, że w worku jest kot, ale nie ma chleba.

Zdenerwowana włożyła kota z powrotem do worka i zniosła do studni, aby go utopić. Najpierw postanowiła jednak workiem uderzyć w kamień. Worek się rozerwał i kot uciekł do domu. Kobieta pobiegła za nim. Gdy weszła do pokoju zobaczyła pięknego młodzieńca, który podziękował jej za to, że nakarmiła go chlebem i przez to zdjęta została z niego klątwą. Chwilę później zniknął na zawsze.

Z jaj danina dla pana z Żegocina

W Żegocinie mieszkał szlachcic, któremu wieśniacy musieli przynosić wszystkie jaja, jakie zniosły kury. Za jajka nie płacił, co bardzo się chłopom nie podobało. Gdy pewnego razu szlachcic jechał na pole, by dopilnować prac, żona jednego z chłopów wzięła kosz jaj i poszła do wsi przez którą musiał przejeżdżać dziedziec w drodze powrotnej do domu. Wyjęła jajka z kosza i ułożyła je pod płotem. Gdy szlachcic przejeżdżał zaczęła gdać przy płocie jak kura, która zniosła jajko, następnie sięgnęła pod spódnicę, wyjęła jajko i powiedziała: „Z tych jaj jest danina dla pana z Żegocina”. Dziedzic osłupiał i spytał kobietę, co robi. Ta bez przerwy gdacząc, włożyła jajko do koszyka i powiedziała: „Z tych jaj danina dla pana z Żegocina”. Szlachcic odjechał. Od tego czasu jajka tak mu obrzydły, że nie pojawił się już więcej w wiosce by zebrać daninę.

Zatopiony kościół koło Podgórek

Na południe od Podgórek leży otoczony pagórkami staw mający kształt kościoła. Kiedyś stał tu dom Boży, który podczas potężnej burzy został zalany wodą i zapadł się pod ziemię. W powstałej wyrwie w ziemi utworzył się staw.

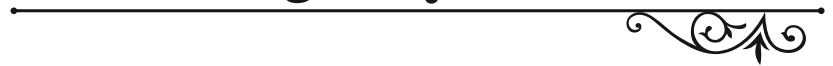
Zatopione dzwony w jeziorze Czarnym koło Pękanina

Szosa ze Sławna do Sianowa prowadzi między Niemicą a Pękaninem przez łagodne wzniesienie. Pośrodku lasu sosnowego leży niewielkie, ciemne jeziorko zwane Jeziorem Czarnym. Jezioro jest bardzo głębokie i mimo, że nie jest szerokie, nie sposób go przepłynąć. Odważny pływak, który chciał tego dokonać, utonął.

Wiele lat temu chłop wiózł przez gęsty las na wozie dwa dzwony. Nocą furmanka zjechała z drogi i wpadła do jeziora. Woły, wóz, dzwony i gospodarz utonęli. Podczas ciemnych nocy z głębokiej wody między jedenastą a dwunastą słychać bicie dzwonów.

Niedaleko jeziora rosła kiedyś dorodna sosna z bardzo gęstą koroną. Pod tym drzewem ma być zakopany skarb. Podczas ciemnych nocy, gdy słychać dźwięk dzwonów zatopionych w jeziorze podobno można ten skarb odnaleźć. Lecz do dziś się to nie udało, bowiem by skarb odnaleźć, muszą być spełnione odpowiednie warunki: dzwony muszą dzwonić, pod sosną musi tańczyć mały ognik i do dwunastego uderzenia zegara skarb musi być odkopany. Kiedy tych warunków się nie spełni, skarb opada kilka metrów niżej.

Legendy z Polanowa



Alf przy stawie koło Polanowa

Według wierzeń ludu alf jest duchem domowym podobnie, jak czerwone kubraczki. Alf kradnie wszystko dla swego pana, by uczynić go bogatym. Lata w powietrzu jak iskrząca się smuga, albo ognisty smok i znika w kominie. Jeśli ktoś zobaczy lecącego alfa, może go zmusić do oddania części łupu, jeśli zawoła: „Połowa jest moja”, albo „Stój, podziel się”. Wówczas upuszcza coś z tego co niesie. Trzeba jednak stać pod jakimś dachem, bo może obrzucić wszami albo łajnem.

Przed 60 laty pewien rzemieślnik z Polanowa zamierzał późnym jesiennym wieczorem pochodzić po okolicy za interesami. Żona i inni domownicy odradzali mu tak późne wyjście. Przed północą na pewno nie wróci do domu, a noc nie jest przyjazna dla żadnego człowieka. On jednak śmiał się z tego i powiedział: „Co mi się może stać? Mnie ani człowiek, ani diabeł nic nie zrobi”. Wyszedł zabierając ze sobą latarnię, bo tak mu wszyscy doradzali.

Kiedy wracał i był już przy stawku koło Polanowa, zobaczył nad sobą ognistego i świecącego alfa. Natychmiast zakreślił laską wokół siebie krąg i zawołał: „Stój, podziel się”. Wtem coś zaczęło hałasować, jakby spadały kamienie. Potłukło mu latarnię i nagle zrobiło się ciemno. Zdruzgotany wrócił do domu. Żona, gdy go zobaczyła, wystraszona krzyknęła: „Człowieku, jak ty wyglądasz? Co ci się przytrafiło?”.

O swojej przygodzie opowiedział dopiero po pewnym czasie i zapewnił, że żadne moce tego świata nie zmuszą go do tego, by wychodzić tak późnym wieczorem z domu.

Bursztynowe krasnoludki w forcie koło Polanowa

Dawniej w górach koło Fortu mieszkały krasnoludki. Nazywano je także podziemnymi ludkami. Opowiadano, że mają skarby i potrafią także czarować. Rzadko je można było zobaczyć, bo były płochliwe i wiodły dość tajemnicze życie.

Kiedyś chłop był na swoim polu, które graniczyło z górami i kosił zboże. W południe żona przyniosła mu obiad, grochówkę ze skórkami od słoniny, postawiła garnek w cieniu na skraju lasu i poszła do domu, by wydoić krowę i nakarmić dzieci.

Kiedy kosiarz skończył pracę udał się na skraj lasu by odpocząć w cieniu drzew i zjeść obiad. Z daleka zobaczył, że coś czerwonego przy garnkach się rusza. Pomyślał, że to lis i zaczął się powoli skradać. Ze zdziwieniem zobaczył, że to nie był lis, a małe ludziki z długimi brodami w czerwonych czapczkach. Krasnale uniosły pokrywę i z rozkoszą wachały wydobywające się z garnka zapachy.

Ale to piękne, powiedział pierwszy krasnal. Ale to ładnie pachnie, dodał drugi. I jakie to smaczne rzekł trzeci. Krasnale nabierałyby z garnka grochówkę i jadły.

Chłop podszedł bardzo blisko, ale krasnoludki zajęte jedzeniem go nie zauważyły. „O co za liski są przy moim jedzeniu” – powiedział głośno. Wtedy krasnale błyskawicznie uciekły. Jednak jeden z nich zgubił czerwoną czapczkę. Była już mocno zniszczona. „To marny fant” – pomyślał chłop – ale lepszy rydz niż nic” i schował ją do kieszeni. Potem usiadł i zjadł resztę grochówki. Kiedy skończył poczuł, że coś skubie go za bluzę. Za nim stał karzełek bez czapki na głowie i prosił: „Oddaj mi moją czapczkę”. A co dostanę za grochówkę, którą mi podjadaliście spytał kosiarz? Krasnal odpowiedział: „Dostaniesz więcej niż twoja grochówka była warta, ale oddaj mi czapkę”.

„To najpierw pokaż co w zamian dostanę” – zaproponował kosiarz. Karzełek zaprowadził go do lasu, gdzie przy górze stała stara, gruba sosna. Pomiędzy korzeniami i kamieniami była dziura, jakby lisia jama. Karzełek rzekł: „Zaczekaj chwileczkę” i zniknął w norze. Wnet wrócił z kawałem bursztynu, który pięknie mienił się w słońcu i powiedział: „Weź to w zamian za swoją grochówkę”. „Jeśli tak dobrze płacicie, to możecie częściej zaglądać do mojego jedzenia” – zaproponował gospodarz.

Musimy ci za to podziękować. Jeśli chcesz więcej bursztynu przychodź w popołudniowej porze przed nasze drzwi i wołaj „Oddajcie mi”. Ale nie możesz o tym nikomu mówić. No i nie przychodź za często. Kosiarz oddał krasnalowi czapeczkę, a ten zniknął w norze.

Chłop wrócił do pracy. Wieczorem długo zastanawiał się. Ponieważ nie był bogaty, to każdy grosz był mu potrzebny. Zaniósł bursztyn do pobliskiego miasta i tam go sprzedał.

Od tego czasu kiedy pracował na tym polu celowo zostawiał jedzenie na skraju lasu i cieszył się, gdy widać było jedzących krasnali.

Kiedy potrzebne mu były bardzo pieniądze szedł do starej sosny i wołał: „Oddajcie mi”. Za każdym razem wyrzucano mu kawałek bursztynu.

Trwało to dłuższy czas. Chłop i jego rodzina nie zaznawali biedy. Kiedyś podczas uczyty weselnej popił sobie ze znajomymi zaczął się chwalić swoim tajemniczym szczęściem. Wreszcie wszystko wygadał. Do sosny udało się kilka osób. Pierwszy zawołał: „Oddajcie mi” i za chwilę z nory wyrzucono kawałek bursztynu. Także drugi dostał bursztyn. Kiedy jednak trzeci zawołał: „Oddajcie mi” z głębi nory usłyszał głos: „Na dzisiaj starczy”. To go rozłościło. Zaczął złorzeczyć krasnalom i wrzucać do dziury gałęzie i kamienie. Ale tam było cicho.

Kiedy kosiarz udał się znowu do nory i zawołał: „Oddajcie mi” nie pokazał się żaden krasnal. Chodził tam jeszcze wiele razy nosząc pod dziurę jadło. Ale wszystko na próżno. Ziemni ludkowie zniknęli. Nie dostawał już kawałków bursztynu i dobre dla niego czasy się skończyły. Tak to jest, jak ktoś nie potrafi trzymać języka za zębami.

Czerwony kubraczek mści się

Było to na dwa dni przed Bożym Narodzeniem. Wszystkie gospodynie krzątały się przy wypiekach. Piec chlebowy dla wsi stał na uboczu, tuż za ogrodami, gdzie zaczynały się pola. Wokoło stały gołe drzewa wiśniowe, a za płotem z desek stało kilka koślawych świerków. Choć była zima piec nigdy nie zdążył wystygnąć, bo w dzień i w nocy coś w nim wypiekano. Kiedy jedna gospodyni wyciągała z pieca chleb, druga już miała gotowe ciasto. Donoszono drewno i chrust i na nowo wzniesano ogień. Paleniem w piecu zajmowali się mężczyźni albo młodzi chłopcy, bo zimową porą mieli dużo czasu.

Była już późna noc, kiedy młody chłopak palił w piecu, a matka ugniatała w tym czasie w domu ciasto. Chłopak dokładał chrust do pieca, siedział przed piecem i się grzał. Naraz zza świerków wyszła dziewczynka ubrana w czerwony kubraczek. Zaczęła tańczyć i podskakiwać, raz była przed nim, raz za nim, to znowu ukazywała się w żarze ogniska i w piecu chlebowym. Robiła pocieszne podskoki, które rozśmieszyły chłopca. Zaczął się z niej naigrywać. Mała dziewczynka w coraz szybszym tempie skakała wokół. Była coraz bardziej zła na chłopca, który zaczął rzucać w nią gałęziami. Wtedy pogroziła mu pięścią i zniknęła. Następnego dnia chłopiec opowiedział o nocnej przygodzie i pokazywał jak dziewczynka tańczyła. Starzy ludzie mówili: „To był czerwony kubraczek i nie-dobrze się stało, że go rozzłościłeś”. I mieli rację. Chłopiec zachorował i nie mógł pracować. W końcu została z niego skóra i kości, taki by słaby, że nie wstawał już z łóżka. Po roku, dokładnie tego samego dnia i godzinie, w której czerwony kubraczek mu groził, zmarł.

Czerwony kubraczek pomaga robić masło

Pewna młoda gospodyni nie potrafiła robić masła. Mąż bardzo się temu dziwił, aż w końcu zaczął jej wymyślać, że to jej wina, bo za mało przykłada się do roboty. Kobieta była zrozpaczona. Kiedy jej się masło znów nie udało, zaczęła głośno płakać.

Naraz coś w kącie zaszeleściło. Kiedy tam spojrzała, zobaczyła malutkiego człowieczka ubranego w czerwony kubraczek. Powoli zbliżył się do niej i zapytał: „Czemu płaczesz?”. Kobieta ze zdumienia zaniemówiła. Wtedy krasnal ponowił pytanie. Odpowiedziała: „Nigdy nie udaje mi się zrobić masła i dlatego płaczę”. Wtedy krasnal powiedział: „Włóż kawałek czerwonej szmatki do masielnicy, a zobaczysz, że uda ci się zrobić masło”. Gospodyni z powątpiewaniem odrzekła: „Co ty człowieczku wiesz o robieniu masła? I co taki gałganek może pomóc?”. Krasnal zrobił poważną minę i odparł: „Rób to, co ci każę. Na pewno pomoże. Jestem przecież czerwonym kubraczkiem”.

Kobieta usłuchała, przyniosła czerwony gałganek i włożyła go do masielnicy. Po chwili, gdy otworzyła masielnicę zobaczyła dużą bryłę masła. W dodatku było najlepszego gatunku. Kiedy mąż zobaczył masło, był bardzo zadowolony i sądził, że to jego połajanki pomogły. Kobieta opowiedziała, kto jej pomógł.

Od tego czasu masło zawsze się gospodyni udawało. Od czasu do czasu przychodził mały ludzik i przyglądał się jej pracy. Prosił też o kawałek masła, które mu gospodyni z wdzięczności dawała.

I rzeczywiście, kiedy teraz przychodziła ze swoim masłem na targ, mogła żądać najwyższą cenę. Miejskie gospodynie wybiegały jej naprzeciw i wyrzywały sobie towar. Tak dobrze jej masło smakowało.

Dziki myśliwy koło Chocimina

Tę opowieść usłyszałem od mojej babci. Przekazał ją jej ojciec.

Dawniej w Chociminie było dużo owiec. Pasły się na polach i wrzosowiskach pilnowane przez owczarza. Często zostawały na noc na dworze. Owczarz miał mały wóz z dachem, w środku którego zrobił sobie legowisko ze słomy i koców i tam spał przy swoich owcach. Musiał je pilnować, by mu wilki lub złodzieje jakiejś owcy nie ukradli. Pomagały mu w tym dwa duże psy. Ponieważ owczarz był już stary, często zabierał ze sobą wnuka. Był to bardzo odważny chłopiec, który nie bał się nawet wtedy, gdy zostawał w ciemnościach sam.

Pewnego wieczora, gdy księżyc jasno świecił dziadek zdrzemnął się na słomie, a chłopiec siedział z przodu wózka i patrzył na owce. Naraz z oddali dał się usłyszeć świst. Zerwała się wichura i grube, czarne chmury pędzące po niebie zasłoniły księżyc. Stary owczarz zbudził się, przywołał psy, które skomlać leżały pod wozem i poszedł do owiec. Chłopiec dalej siedział na wozie i przysłuchiwał się wichurze, uginającym się pod uderzeniami wiatru drzewom i pędzącym po niebie chmurom.

Nagle zrobił się okropny hałas, wydawało się, że biegly konie, słyhać było strzelanie z batów, gwizdanie, trzaski i trąbienie. Sprawilo mu to taką uciechę, że też zaczął gwizdać. Trąbił w złożone dłonie i wołał: „halo, halo”. Nagle obok przeleciał jakiś cień i przed wozem pojawił się olbrzymi myśliwy, który wołał: „Wypędź zająca!”. Chłopiec odrzekł: „Ale tu nie ma żadnego zająca”. Myśliwy jednak znów krzyknął: „Wypędź zająca!”. Wówczas chłopiec sięgnął za siebie i w słomie złapał zająca, podrzucił go myśliwemu. Ten go złapał i zawołał: „Wołałeś i gwizdałeś za mną, musisz się też ze mną podzielić”. Rozerwał zająca i cisnął mu jedną połowę. Po czym nagle zniknął i zrobiło się znów cicho.

Chłopiec rzucił połówkę zająca pod wóz, żeby mogły go później zjeść psy. Kiedy nadszedł dziadek opowiedział mu całe zdarzenie. Dziadek nic nie powiedział, ale podniósł zająca i położył w wozie. Chłopiec spokojnie zasnął.

Kiedy następnego ranka się obudził dziadek siedział obok niego i trzymał w rękach połówkę zająca. Kiedy jednak dokładniej mu się przyjrzał okazało się, że to nie zając, a duży woreczek pełen złota.

Takie przygody często owczarzom się trafiają – powiedziała moja babka. I dlatego wszyscy są tacy bogaci.

Dzwony w jeziorze Dolnym

W południowej części powiatu sławieńskiego między Żydowem a Gołogórą leży „bogata” w kamienie okolica zwana przez ludzi krainą diabła. Tu znajduje się prześliczne jezioro Kamienne. Jego lustro wody znajduje się 160 metrów nad poziomem morza i jest o 80 metrów wyższe niż lustro wody w położonym o dwa kilometry dalej jeziorze Dolnym. Ludzie opowiadają, że w miejscu obecnego jeziora kiedyś było miasto z dużym kościołem. Miasto zapadło się. Jeszcze dziś można znaleźć w jeziorze pływające drewniane części.

Pewnej noworocznej nocy dwaj mężczyźni szli drogą obok jeziora prowadzącą do Gołogóry. Była to droga polna. Usłyszeli dźwięk dzwonów dobiegający z wody. Wydawało im się to dziwne, więc poszli bliżej jeziora. Zobaczyli we mgle kołyszące się nad wodą dwa dzwony, które dzwoniły i zbliżały się do brzegu. Kiedy były już bardzo blisko mężczyźni usłyszeli, że dzwony rozmawiają ze sobą. Mały dzwon mówił: „Zuzanno, chcemy znowu na ląd?” A duży odpowiadał: „Małgorzato znowu w głębinę, znowu w głębinę”. Później dzwony oddaliły się od brzegu i zniknęły na środku jeziora w wodzie. Mężczyźni byli bardzo zdziwieni tym co widzieli i słyszeli.

Dziki myśliwy dzieli

Mój dziadek był rolnikiem. Bardzo lubił polować i dzierzawił nawet pół rewiru myśliwskiego. Jesienią późnym wieczorem szedł przez las. Padał już śnieg. Widać było wiele śladów zwierząt. Pomyślał, że jeśli jutro znów tu przyjdzie, to na pewno coś upoluje.

Zrobiła się szarówka. Naraz coś zaszumiało, słychać było trzaski gałęzi i wycie. Cały las jęczał. Dziadek stanął, rozejrzał się, ale niczego nie zobaczył. Poczul się nieswojo i postanowił wracać do domu, bo hałas był coraz większy. Naraz na drogę wyskoczyła naga kobieta i zaczęła biec. Za chwilę pojawił się duży mężczyzna z flintą w kapelusiku, jakie noszą myśliwi. Przodem biegła kobieta, za nią dziadek, a na końcu dziki myśliwy. Dziadek biegł ile sił w nogach wzdłuż wąwozu, tak że dziki myśliwy nie mógł go wyprzedzić. W końcu zaczęło brakować mu tchu, a serce podchodziło do gardła. Dziki myśliwy wciąż był za nim. W końcu zatrzymał się i powiedział do dzikiego myśliwego: „Zostaw mnie w spokoju! Połowa rewiru jest moja”. Dziki myśliwy także się zatrzymał, przytaknął skinieniem głowy. I nagle zarówno on jak i kobieta zniknęli. Dziadek ledwo żywy wrócił do domu.

Następnego ranka, kiedy się rozwidniło, otworzył bramę podwórza i wyrzwał na zewnątrz. Zobaczył leżącą nagą kobietę przeciętą na pół. Zastanawiał się skąd się tu wzięła. I wtedy przypomniał sobie, że powiedział do dzikiego myśliwego: „Połowa rewiru jest moja”. I dziki myśliwy podzielił się swoją zdobyczą.

Jak powstał rów koło Rzeczycy Wielkiej

Zdarzyło się to bardzo dawno temu, tak że nikt nie może sobie przypomnieć kiedy to dokładnie było. Wiatr podobnie jak dzisiaj wiał przez pola i śpiewał albo wzdychał w świerkach i sosnach. Świeciło słońce i po niebie płynęły chmury.

W czasie nocnej wichury po niebie pędził ze swym orszakiem dziki myśliwy. W górach i wąwozach gospodarzyli spokojni podziemni ludkowie, a wilki wyły w ciemnych lasach. Ludzie mieszkali tu od dawna w pięknej dolinie, przez którą biegnie dziś szosa i linia kolejowa z Polanowa.

Szeroki rów, który dziś ciągnie się wzdłuż doliny, wówczas jeszcze nie istniał, ani piękny leśny wąwóz przez który dziś płynie rzeczycki strumyk i napędza stary folusz, aby następnie zakolami spłynąć do Grabowej. Cicha dolina dawała ludziom wystarczająco zboża i chleba. Były tu dobre pastwiska dla bydła. Ludzie dobrze wiedzieli, że zawdzięczają to niewidocznym duchom w powietrzu i leśnym ludkom. Cieszyli się, gdy widzieli ich ślady na swoich polach, składali pokłon, gdy niebiańskie wojska z szumem przesuwały się przez przestworza. Kiedy zbierali zboże z pól zawsze z uśmiechem zostawiali ostatni snopek jako ofiarę dla nich.

Z biegiem czasu wiele się zmieniło. Do doliny przywędrował jakiś obcy człowiek. Był biedny i spokojny. Pozwolono mu na skraju lasu wybudować chatkę, a także w lesie i w wodzie szukać dla siebie pożywienia. Ponieważ był uczynny i pomagał innym, polubili go. Ale przybysz nie szanował życzliwych i nieżyczliwych mieszkańcom duchów i to się nie podobało. Z czasem jego zachowanie zaczęło oddziaływać na ludzi młodych, którzy coraz częściej odchodzili od dawnych wierzeń i tradycji. Starzy bezskutecznie upominali i ostrzegali. Młodzi nie chcieli składać ofiar duchom, nawet się z nich naśmiewali.

Jednak ci niewidzialni w powietrzu i na ziemi nie pozwolili się bezkarnie wyśmiewać. Zboże stało dojrzałe na polu, kiedy nad dolinę nadeszło nieszczęście. Nad leśnymi wzgórzami wzniosła się czarna ściana chmur, oślepiające błyskawice rozjaśniały niebo w parną letnią noc. Słychać było coraz głośniejsze grzmoty. Nad dolinę zbliżała się burza, a ludzie ze strachu chowali się do domostw. Rozpętała się nawałnica z wichurą, deszczem, gradem. Ogromne masy wody zalały pola i spływały do doliny zamieniając ją w rwącą rzekę.

Po strasznej nocy nadszedł poranek. Burza przeszła. Przestawało padać i pięknie świeciło słońce. Ale na wystraszonych nocną nawałnicą padł nowy strach. Dziki potok w dolinie wzbierał i stawał się coraz bardziej rwący. Woda zaczęła podchodzić już pod domostwa i tu i tam porywała dobytek i bydło. Ludzie musieli się ratować ucieczką.

Nastał dzień, a olbrzymia masa wody nadal płynęła. Podobnie było nazajutrz. Rwąca rzeka wypłukiwała ziemię. Wysokie świerki, grube buki i potężne dęby nie miały już oparcia i z hukiem wpadały do wody. Ludzie zastanawiali się, skąd płynęły te ogromne masy wody. Dlaczego nie było jej mniej skoro deszcz już przestał padać? Wreszcie odkryto przyczynę. Woda wypływała ze źródła podziemnych ludków. Trzeba je było zatkać. Wszyscy zdolni do pracy zabrali się do roboty, by zaważyć kamieniami, chrustem i ziemią nieszczęsne źródło. Jednak trud okazywał się daremny, woda biła jeszcze mocniej. Wreszcie ludzie zrezygnowali. Zrozumieli, że jest to zemsta podziemnych ludków. Zaczęto szukać sprawcy tego nieszczęścia, nieznanego, który pierwszy wyśmiewał się z nich. Chciano go ukarać. Jednak w miejscu, gdzie stał jego dom był głęboki wąwóz, przez który płynęła woda. Zrozumieli, że zemsta jest tu już niepotrzebna.

Należało jednak zatkać źródło, bo woda zalewała pola i domy. Poszli po radę do starej, mądrej kobiety, która często pomagała ludziom w całej dolinie. Znała wszystkie lecznicze i trujące korzenie i zioła. Przy niektórych chorobach była i ludzi pomagały niektóre jej zaklęcia. Znała też tajemnice dobrych i złych duchów.

Stara długo milczała, patrząc ponad głowami proszących na góry. Wreszcie cicho powiedziała, że tym razem trzeba ofiarować coś nadzwyczajnego, żeby przebłągać duchy. I to co mieli najlepsze, powinni w źródle utopić.

Pośpieszyli po swoje kosztowności i cenne przedmioty, aby je wrzucić do źródła. Jednak kiedy stara kobieta to usłyszała, przecząco potrząsnęła głową. Czyż nie wiecie co jest największym skarbem? Mężczyźni zamilkli, matki w ramionach mocno ścisnęły swoje dzieci. Wreszcie ludzie płochliwie się rozeszli do domostw.

Bieda jednak przyciskała i szukano rady. Ludzie byli zmęczeni, czujność matek pilnujących swych dzieci coraz mniejsza. Około północy stara kobieta podniosła się ze swego siedzenia i wyszła przed drzwi chaty. W ciemnościach stało kilku mężczyzn. Słyszać było krótkie szepty, potem zniknęły w ciemnościach nocy.

Nazajutrz wszystkich mieszkańców doliny ogarnęło zdziwienie. Dzika rzeka skurczyła się. Pośrodku głębokiego rowu płynął niegroźny, mały potok. Pola obeschły. Nastąpiła znowu nadzieja. Pomimo dużych szkód w dolinie słyszać było wesołe nawoływania mieszkańców, które zagłuszał gorzki płacz młodej kobiety nadaremnie szukającej swego dziecka, które w nocy leżało przy jej boku i zniknęło, kiedy przemęczona zapadła w głęboki sen.

Posłanie starej kobiety też było puste. Jeszcze przez długi czas pytały o nią dzieci. Starzy wówczas spoglądali do góry i nakazywali milczenie. Po cichu szeptano, że stara, kiedy tamtej nocy niosła ofiarę też się zsunęła do źródła, aby przebłagać rozgniewane duchy i swoją ofiarą ocalić mieszkańców doliny.

Od kilku stuleci góra spokojnie spogląda na dolinę, na powtarzający się co roku czas siewu i żniw, kwitnienia i wędnięcia, na przemijanie. Z wąwozów wysoko w niebo strzelają dęby i buki. O biedzie z tamtych czasów już dawno zapomniano. Ale czy do końca? W dolinie trwa przecież ta stara legenda.

Jeżeli się wierzy w duchy

1. Muzykant

Pewien muzykant grał na wsi do tańca. Kiedy zabawa się skończyła była już ciemna noc, a on mógł udać się w drogę do Polanowa. Przy pożegnaniu młodzi ludzie zaczęli go straszyć: uważaj bo możesz spotkać ducha. Muzykant powiedział, że w duchy nie wierzy, a poza tym jest odważny.

Kiedy jednak w ciemności szedł na Warblewo, zaczęły przypominać mu się różne opowieści o duchach, które słyszał. Obleciał go strach i zaczął spoglądać na czarne cienie krzaków i drzew obok których przechodził. Były takie ciemne i straszne. Kto mógł wiedzieć, co się za nimi kryje. Przechodził właśnie obok ciemnego lasu, gdy usłyszał za sobą kroki. Przestraszony obrócił się, ale nic nie zobaczył. Przyspieszył, ale znów coś za nim szło. Szedł coraz szybciej i stale słyszał kroki. Nagle poczuł uderzenie w kolano. Ze strachu przeraźliwie krzyknął i wyczuł za sobą coś wilgotnego i włochatego. Włosy stanęły mu dęba. Zaczął biec, ile miał sił w nogach. Im szybciej biegł, tym szybciej coś biegło za nim. Na pół przytomny dobiegł do Warblewa i wpadł do pierwszego domu, gdzie paliło się jeszcze światło. Zdziwiony gospodarz wpuścił przestraszonego muzykanta. I zobaczył, że za muzykantem stoi ciełe, które zbiegło z pastwiska i szukało towarzystwa w drodze do wsi.

99. Młocarz i duch

Dzisiaj niemożliwe byłoby takie zdarzenie, gdyż duchy nie zapoznały się jeszcze z maszynami, którymi dysponują rolnicy na wsi. Trudno duchowi byłoby konkurować z młockarnią, która tak głośno pracuje, że wkoło nic nie słyhać. Dawniej było jednak inaczej. Zboże młóciło się od rana do wieczora cepami, nieraz jeszcze późną jesienią i zimą. To była ciężka praca. Najlepiej młóciło się w trójkę. We dwójkę młocka była trochę nudna i dlatego gospodarz najmował często trzeciego i czwartego do pomocy, nawet z sąsiedniej wsi. Pewien chłop z Rekowa pomagał przy młócce w Garbnie. Pracował do późnego wieczora. Po dobrej kolacji i kieliszku mocnej wódki przewiesił swój cep przez ramię i ruszył do domu. Mimo zmęczenia było mu wesoło, kiedy nagle coś puknęło go w plecy. Zdziwiony obrócił się, ale nikogo nie zobaczył. Po paru krokach znów poczuł puknięcie w plecy. Przyspieszył kroku, ale coraz częściej czuł lekkie uderzenie w plecy, choć nikogo za nim nie było. Teraz już nie miał wątpliwości, że to sprawa ducha. Zrobiło mu się zimno i gorąco. Szedł coraz prędzej, aż w końcu zaczął bieg, ale cały czas czuł niesamowite uderzenia w plecy. Zupełnie wyczerpany wpadł do domu. Widząc go domownicy przestraszyli się, a on odpowiedział im co przeżył. Wszyscy słuchali w milczeniu, tylko sąsiad rzekł: Ciebie tylko twój cep w plecy pukał, a nie duch. Wówczas nastąpiło rozprężenie i śmiech. Młocarz często musiał wysłuchiwać naigrywania się sąsiadów, że przestraszył się własnego cepa.

Lis i gęś

Gęś spokojnie pasła się na polu. Naraz zobaczyła obok siebie lisa, który niepostrzeżenie się podczołgał. O ucieczce nie mogła już myśleć, ale opanowała swój strach i powiedziała do lisa: „Chodź tu i pomóż mi szukać. Zgubiłam pieniądź. Jeśli go nie znajdę, gospodarz łeb mi utnie. Jednak lepiej by było gdybyś ty mnie pożarł”. Lis udawał, że szuka pieniądza, ale myślał tylko jak ją zjeść. Trzymał się blisko gęsi tak by nie mogła odfrunąć. W końcu powiedział, że nie może znaleźć monety i złapał gęś za prawe skrzydło. Gęś powiedziała, że gotowa jest umrzeć, ale prosi tylko, by sprawił jej radość i z nią zatańczył. Lis dał się namówić i zaczął z nią tańczyć. Gęś udawała, że jest bardzo zadowolona i lis się zapomniał, otworzył pysk i puścił skrzydło gęsi. Ta w tanecznym wirze wzniosła się w powietrze i zawołała, że chce jeszcze pożegnać się z gospodarzem. Lis miał udać się za nią na podwórze i wołać: „Namyśl się. Namyśl się”. Wtedy ona do niego przyjdzie. Gęś poleciała do zagrody i sfrunęła na środek dużego stawu. Lis przelazł przez dziurę w płocie i zaczął wołać: „Namyśl się. Namyśl się”. Gęś wesoło pływała po stawie i wołała: „Ja się już namyśliłam”. Te krzyki usłyszały psy i przybiegły przetrzepać lisowi futro. Dopiero teraz zorientował się, że został oszukany i wziął nogi za pas.

Przynoszący szczęście kamień ze Świętej Góry

Na jednym z licznych gospodarstw koło Polanowa mieszkał przez wieloma lata rolnik, który nigdy nie miał szczęścia. To spotkał go nieurodzaj, to choroba bydła, to wypadek przy pracy. Imał się różnych prac, ale nic mu nie wychodziło i zaczął popadać w długi.

Kiedyś padł mu koń. Zaczął chodzić po okolicznych wsiach i szukać odpowiedniego i taniego konia. Podczas jednej z takich wędrówek zrobiło się późno. Kiedy udał się w powrotną drogę była już noc. By skrócić sobie drogę szedł przez Świętą Górę. Kiedy był na szczycie zobaczył w miejscu gdzie kiedyś miała stać kaplica światełko. Stanął i zaczął nasłuchiwać. Było jednak cicho. Wtedy przypomniał sobie opowiadania ludzi o pokazujących się tu duchach. Zrobiło mu się nieswojo i szybko poszedł dalej. Kiedy już miał górę niemal za sobą usłyszał przytłumiony głos: „Zabierz to ze sobą”. I wtedy upadło mu coś pod nogi, a światło zniknęło. Chciał uciekać, ale czuł się jak sparaliżowany. Wreszcie schylił się, podniósł przedmiot i wsadził do kieszeni. W domu zobaczył, że to kawałek cegły, taki który można było znaleźć na rumowisku. Chciał go wyrzucić, ale przypomniał sobie, że kamienie ze Świętej Góry przynoszą szczęście. Zakopał kamień pod progiem obory.

Od tego czasu wszystko odmieniło się w jego gospodarstwie. Pola przynosiły dobre plony, bydło dobrze się chowało. Powoli doszedł do zamożności. Był święcie przekonany, że powodzenie zawdzięcza kamieniowi ze Świętej Góry. Mocno przy tym obstawał mimo, iż z tego powodu sąsiedzi się z niego śmiali.

Sędzia i diabeł

W pewnej wsi mieszkał ubogi człowiek z siedmiorgiem dzieci. W domu panowała bieda. Kiedy zmarł, bieda się jeszcze pogłębiła tym bardziej, że dziedzic kazał wdowie poszukać kogoś, kto będzie pracował za jej zmarłego męża. Kiedy nikogo nie znalazła, dziedzic pojechał do sędziego do miasta. Sędzia był jego przyjacielem i wydał wyrok: wdowa musiała oddać dziedzicowi krowę. Ponadto dziedzic mógł przepędzić rodzinę ze wsi.

Kobieta musiała przenieść się do sąsiedniej wsi. Dzieci podrosły i pomagały matce. Z zaoszczędzonych pieniędzy postanowiła kupić krowę. Dlatego udała się na targ na św. Jana do miasta.

Tego dnia przekupny sędzia wcześniej wstał i wybrał się w drogę. Przed bramą spotkał wytworzone ubranego człowieka. Kiedy ten przeszedł obok niego bez pozdrowienia sędzia zawołał za nim: „Dlaczego mnie nie pozdrawiasz? Czy nie wiesz kim jestem?” „Na pewno cię znam” – odpowiedział mężczyzna. „Jak się nazywasz, że się do mnie tak lekceważąco zwracasz” – spytał sędzia.

„Lepiej by było byś mojego imienia nie znał, ale jeśli chcesz wiedzieć, to ci powiem – jestem diabłem i na dzisiejszym targu chcę zabrać coś, co mi się według prawa słusznie należy” – odparł nieznajomy.

Sędzia był bardzo ciekawy i zaproponował diabłu, że będzie mu towarzyszył. Niedługo spotkali kobietę z dzieckiem na ręku i dwojgiem idących obok. Dzieci co chwile przystawały i rozglądały się. Kiedy cierpliwość kobiety się wyczerpała zawołała: „Chciałabym, żeby was diabeł zabrał”. Na to sędzia rzekł do diabła: „No to łap”. Ale diabeł odrzekł, że kobieta powiedziała to w złości.

Poszli dalej i zobaczyli chłopca, który gnał przed sobą upartą świnie by sprzedać ją na targu. Ponieważ świnia co chwilę stawała, zniecierpliwiony chłop powiedział: „Przeklęte zwierzę, aby cię diabli wzięli”. Sędzia znów zaproponował diabłu, by wziął zdobycz. Ale ten odrzekł, że ta świnia do niego nie należy. Gospodarz przez kilka miesięcy ją tuczył i za uzyskane pieniądze musi zapłacić długi. On tego nie powiedział poważnie.

Wnet doszli na plac targowy, gdzie akurat wdowa sobie piękną krowę utargowała. Kiedy zauważyła sędziego krzyknęła: „O miłosierny Boże, ten mi na pewno znów każe krowę zabrać. O niechby go diabeł zabrał.” Na to diabeł powiedział do sędziego: „Te słowa były serio wypowiedziane”, złapał sędziego za włosy, uniósł w powietrze i poleciał daleko.

Święta Góra koło Polanowa

¶

Urodzajna równina, na której mieszczanie i rolnicy Polanowa uprawiali swoje ziemiopłody, ograniczona jest od południowego zachodu przez niewysokie, rzadko zalesione wzgórze. Krowy i owce pasą się w lecie na skąpej trawie między krzewami żarnowca i wysokimi jałowcami zaspakajając swoje pragnienie wodą z małej studzienki wypływającej w połowie wzgórza. W zimie panuje tu zupełna cisza. Nic nie przypomina o tym, że wzgórze to było kiedyś znane daleko poza granicami Pomorza. Na stoku wzgórza stajemy nagle przed kupą przerośniętego trawą gruzu, resztkami dawnej budowli. Można jeszcze rozpoznać zarys budowli choć nawet fundamenty zostały wywiezione.

Tu leży Święta Góra, miejsce kultu od niepamiętnych czasów. W jej wnętrzu spoczywają od setek lat szkielety pobożnych w wiecznym milczeniu. I śpiew i modły przebrzmiały i żaden dzwon nie wzywa dziś na modły.

Jednak kiedy podczas jasnej nocy, późna zorza wieczorna świeci na północnym nieboskłonie, aby po paru godzinach przejść w nowy dzień, na górze płonie ogień świętojański. A młodzież święci tu w skupieniu swoich przodków i pieśniami zapewnia o wierności dla tej ziemi..

Przed setkami lat stała na Świętej Górze pogańska świątynia. Zbudowali ją dawni mieszkańcy swemu bogowi. Tu przynosili ofiary prosząc o pomoc, udane zbiory, zdrowie dla ludzi i bydła. Kiedy jednak Wenedowie stali się chrześcijanami i do dawnych bóstw nie wolno im było się modlić, mnisi zniszczyli dawną świątynię i pobudowali na niej chrześcijańską kaplicę. Stał tu krzyż, który widoczny był z daleka. Kaplica stała się miejscem pielgrzymek. Jeśli ktoś popełnił ciężki grzech pielgrzymował tutaj, aby prosić o przebaczenie i odpuszczenie winy. Często ludzie przychodzili z dalekich stron, nawet z Rzymu, gdyż tu przebaczano nawet bratobójstwo. Wielu przychodziło, by doznać uzdrowienia z ciężkich chorób. Pili wodę ze źródła wypływającego ze stoku, albo myli się w niej, gdyż wierzyli, że źródło ma cudowną moc. I nazwali je „źródłem zdrowia”. Wielu brało ją też do domu, jako lekarstwo dla ludzi i bydła. Tak Święta Góra stała się miejscem sławnym, znanym, daleko i szeroko. Mnisi musieli dbać o dom Boży, który był stale otwarty. Pielgrzymi przynosili nieraz cenne podarki do kaplicy, tak że w końcu stała się tak bogata, że posągi 12 apostołów wykonane zostały ze szczerego złota. W czasach wojen skarby chowali mnisi w podziemiach polanowskiego zamku, do którego prowadził podziemny chodnik. Kiedy cały kraj przeszedł na ewangelizm, pielgrzymki ustały i mnisi opuścili kaplicę. Kaplica się z czasem rozsypała, albo została spalona w jakiejś wojnie.

Jednak wiara o cudownej mocy miejsca trwała nadal. Mówiono, że w górze mieszka dobry duch. Ludzie w skrytości odwiedzali to miejsce. Przynosili wodę, brali kamienie z murów świątyni. Wierzone, że można w ten sposób przewyciężyć choroby.

Źródło zdrowia do dziś ofiarowuje swoją wodę i są ludzie, którzy w jej cudowną moc wierzą.

Uzdrawiające źródło przy Świętej Górze

Dawno temu, kiedy wrota kaplicy na Świętej Górze stały otworem, w niewielkim miasteczku Polanowie, położonym u stóp owej góry mieszkało młode małżeństwo z dziećmi. Choć byli biedni, uchodzili za szczęśliwą rodzinę, gdyż miłość i pokój gościły w ich domu.

Niestety nadeszły dla nich smutne dni, kobieta zachorowała. Jej stan wciąż się pogarszał, traciła siły, wprost niknęła w oczach. Nikt nie wiedział, co jej jest i nikt nie umiał jej pomóc.

Pewnej bezsennej nocy myślała, że nadchodzi kres jej dni. Żał jej było odchodzić z tego pięknego świata. Jej serce rozdzierał niepokój o los ukochanego męża i dzieci. Zapłakała gorzko nad swą nieszczęsną dolą. Gdy znużona zapadła wreszcie w sen jej oczom ukazał się widok przecudny. Ujrzała świetlistą postać Maryi Bramy Niebios. Najświętsza Paniienka spoglądała na chorą kobietę z dobrocią i miłością, a blask Jej chwały rozświetlił ciemność nocy. Spokojnym i ciepłym głosem rzekła: „Napij się wody z czystego źródła, w które pada pierwszy promień poranka, w które nigdy nie wpadło światło księżyca, w którym nie leżał jeszcze żaden liść, z którego nie piło nigdy żadne zwierzę, nad którym nie frunął jeszcze żaden ptak, wtedy wyzdrowiejesz „.

Wypowiedziawszy te słowa Maryja znikła. Nie mogąc doczekać się ranka kobieta zbudziła męża i pełna nadziei opowiedziała mu o tym niezwykłym spotkaniu. Nie umiała jednak powiedzieć, gdzie owo źródło może się znajdować. Mąż, mimo wszystko, chwycił zaraz dzban na wodę i wyruszył w drogę. Dużo było źródeł w okolicy, ale żadne nie pasowało do opisu Jasnej Pani. Pytał ludzi, lecz nikt nie umiał mu pomóc. Z uporem szedł dalej. Aż w końcu zrezygnowany, z ciężkim sercem postanowił wracać do domu. Strach o konającą żonę trawił jego zbolące serce. Szedł smutny prosząc w modlitwie Matkę Bożą o pomoc. I tak jak zawsze, Pocieszycielka Strapionych nie pozostała go w potrzebie kierując jego kroki na Świętą Górę. Otwarte wrota kaplicy wprost zapraszały

do środka. Wszedł i zatopił się w modlitwie. Strach i rozpacz zaczęły powoli topnieć, a ich miejsce zajmowały spokój i ukojenie. Wyszedł z kaplicy z nadzieją w sercu i rozejrzał się dookoła. Na wschodzie niebo właśnie poczęło różowieć, gdy wzrok jego padł na bujną kępę trawy pośród piasku. W tym momencie z pobliskich drzew dał się słyszeć głos kruka, który brzmiał jak słowa: „Grzeb! Grzeb!”. Ponieważ nie miał ze sobą żadnych narzędzi, gołymi rękoma zaczął odgarniać piasek i w momencie, gdy słońce wzeszło, wytrysnął z ziemi strumień wody klarownej i czystej. A więc słowa Panny nad Pannami spełniły się! To ona zaprowadziła go do kaplicy na Świętej Górze, wlała w jego serce nadzieję i wskazała drogę do źródła!

Pełen niewypowiedzianego szczęścia napełnił dzban wodą i pośpieszył do swojej żony, która tak już opadła z sił, że w każdej chwili mogła odjeść z tego świata. Z chwilą gdy napiła się wody z cudownego źródła wróciły jej siły i wkrótce znów mogła jak dawniej krzątać się po domu. Miłość, radość i spokój zagościły w nim już na zawsze. A źródło na Świętej Górze Polanowskiej biło dalej. Ludzie z dalekich okolic dowiadawali się o jego cudownej mocy, przybywali doń, by zaczerpnąć wody i odzyskiwali zdrowie. Nadano temu niezwykłemu miejscu nazwę Studni Życia i pod tą nazwą znane jest do dzisiaj

Wilcza dola

Do klaczy ze źrebakiem pasących się na łące przyszedł głodny wilk i chciał pożreć źrebaka. Klacz pomyślała, że jedynie podstęp może uratować źrebię i podbiegła kulejąc do wilka i zawołała: „Chcesz zjeść źrebaka, ja już go nie lubię, ale najpierw wyciągnij drzazgę, która wbiła mi się w tylną nogę”. Wilk ucieszony perspektywą smacznego posiłku natychmiast się zgodził i podszedł do tylnej nogi klaczy. Ledwo zbliżył pysk do kopyta, klacz wyrznęła go kopytem w łeb tak silnie, że nieprzytomny upadł. Kiedy doszedł do siebie, klaczy i źrebaka już nie było.

Głód stawał się coraz silniejszy, podniósł się z trudem i poszedł dalej. Wtem zobaczył na pastwisku dwa kozły, które się kłóciły. Sądząc, że go nie zauważą, podczołgał się bardzo blisko, żeby je zaskoczyć. Jednak kozły zauważyły go już dawno, a sprzeczka była podstępem. Kiedy się zbliżył poprosiły go, by był ich rozjemcą. Tego który będzie winny, będzie mógł zjeść. Wilk się zgodził i usiadł między kozłami. Te z dwóch stron w pełnym rozbiegu walnęły w wilka łamiąc mu kilka żeber. Padł na ziemię. Dopiero po długim czasie przyszedł do siebie, ale kozłów już nie było.

Z rozbitym łbem i połamanymi żebrami powędrował dalej i spotkał maciorę z 9 prosiętami, które beztrudnie ryły w rowie koło młyńca. Posiłek wydawał się pewny. Maciora jednak dobrze pilnowała prosiąt i wybiegła mu naprzeciw mówiąc: Zeżryj jedno, albo dwa z moich prosiaków, bo nie mogę ich wszystkich wykarmić, ale najpierw musimy je ochrzcić, by mogły wejść do rajcu. Wilk był zadowolony. Poszli do młyńca wodnego, do miejsca gdzie woda wpadała na koło młyńskie. Maciora wpełnęła deskę nad koryto i stanęła na jej końcu, wilk wszedł na drugi koniec nad wodę by móc chrzcić prosięta. Kiedy pierwsze prosię miało zostać podane maciora zeskoczyła z deski i wilk spadł na koło młyńskie. Został mocno poturbowany i wrzucony do wody, tak że ledwo uszedł z życiem.

Rozgoryczony i całkiem zrezygnowany wrócił do lasu. Tu stary chłop ścinał brzoźkę toporem na miotły. Kiedy zobaczył wilka ze strachu wszedł na drzewo. Wilk wcale go nie zauważył i położył się pod tym drzewem i przeklinając swój los powiedział: „A taki jestem nieszczęśliwy, niechby Pan Bóg zrzucił z góry jakiś toporek i mnie dobił”. Kiedy usłyszał to miotlarz niewiele myśląc rzucił z rozmachem toporkiem wilkowi na łeb. Wilk tylko zawył: „Panie Boże poważnie ja tak nie myślałem” i zdechł.

Wdzięczny niedźwiedź

Pewna kobieta wracała z targu do domu. Śpieszyła się, bo dzieci same zostały w domu i czekały na nią od rana. Dlatego poszła przez las na skróty wąską ścieżką. Nagle z gąszczu wyszedł potężny niedźwiedź. Stanął na tylnych łapach i zbliżał się do niej. Kobieta w śmiertelnym strachu stała bez ruchu. Niedźwiedź mruczał i trzymał przed sobą przednią łapę. Kobieta w końcu przemogła strach i obejrzała niedźwiedzią łapę. Wpił się w nią głęboko kolec. Łapa była zaropiała i musiała sprawiać niedźwiedziowi ogromny ból. Kobieta wyciągnęła szybko igłę, wydlubała drzazgę i usunęła ropę. Niedźwiedź ostrożnie stanął na skaleczonej łapie. Kiedy to mu się udało mruczał zadowolony i złapał zębami fartuch kobiety i ciągnął ją w gąszcz. Stanął przy starym dębie. Kobieta myślała, że wybiła jej godzina. Niedźwiedź jednak puścił fartuch i wspiął się na dąb. Kobieta zaczęła uciekać. Wtedy niedźwiedź zszedł z drzewa, dogonił ją, znów złapał zębami za fartuch i przyprowadził z powrotem pod drzewo. Kobieta stała pod drzewem, a niedźwiedź wlaźł do połowy wysokości dębu, w sadził łapę w dziuplę dzikich pszczół, wyciągnął kilka plastrów miodu i wrzucił kobiecie do fartucha. Dopiero teraz kobieta zrozumiała, że niedźwiedź chciał się jej odwdzińczyć. Kiedy fartuch był już pełen miodu niedźwiedź zszedł z drzewa i zaprowadził kobietę na ścieżkę, gdzie wyciągnęła mu drzazgę. Sam odszedł w gęstwinię. Kobieta z dużą ilością miodu wróciła do domu i opowiadała dzieciom o tej cudownej przygodzie.

Zemsta podziemnych ludzików w Żydowie

Pewna gospodyni z Żydowa dziwiła się, że jej dobrze karmione krowy już od dłuższego czasu dają tak mało mleka. Wreszcie zapytała o to służącą, która odparła: „Ja też się temu dziwię. Kiedy po dojeniu wlewam mleko do wiadra i tylko na chwilę się odwrócę, to połowa mleka znika”.

„To pewnie robią ci bezużyteczni podziemni ludkowie”, zawołała rozgniewana gospodyni, „ale poczekajcie” – dodała. Pobiegła do kuchni i nastawiła duży kocioł wody na ogień. Kiedy woda się zagotowała zaniosiła kocioł do obory. W kącie była świeżo zryta podłoga. Tam wylała gorącą wodę i powiedziała: „już więcej tu nie wróćcie”. I zadowolona wróciła do kuchni.

Niedługo potem do obory weszła służąca. Poczowała, że coś ją ciągnie za skraj spódnicy. Zobaczyła małą karlicę, nie miała nawet stopy wysokości. Karlica powiedziała: „Weź wszystko co do ciebie należy i znikaj”. Służąca pobiegła do swego pokoju i pośpiesznie zaczęła pakować swoje rzeczy. W pośpiechu i strachu niejedną przeoczyła. Nagle pojawiła się obok ta sama karlica, pokazała jej zapomniane rzeczy i rzekła: „Bezlitosna gospodyni poparzyła moje dziecko w kołysce. Za to teraz zostanie ukarana” i wypchnęła służącą za drzwi.

Ledwie dziewczyna zdążyła opuścić podwórze, ze wszystkich zabudowań wystrzeliły jasne płomienie. Nikt nie zdołał się uratować.

Złodziejka zostaje zaczarowana

100 lat temu mieszkała w Polanowie kobieta, która potrafiła różne choroby „zamawiać”. Znała też różne zaklęcia, także zaklęcie na złodzieja. Jeśli zostało wypowiedziane nad jakąś rzecz, to złodziej próbujący ją ukraść nie mógł się ruszyć z miejsca. Dopiero nowe zaklęcie może go uwolnić. Musi to nastąpić przed wschodem słońca, bo w przeciwnym wypadku złodziej szernieje.

Latem tej kobiecie stale ginęły z ogrodu warzywa. Mimo tego, że stale pilnowała nie mogła złapać złodzieja. Wówczas w tajemnicy wypowiedziała czarodziejskie zaklęcie nad swoimi warzywami.

Kiedy następnego ranka poszła do ogrodu zobaczyła tam pochyloną nad kapustą swoją starą sąsiadkę, która nie mogła się podnieść, ani ruszyć z miejsca. Szybko wypowiedziała czarodziejskie zaklęcie. Był to ostatni moment, bo słońce zaczynało już wschodzić. Kobieta robiła się już trochę czarna na twarzy.

Pozwoliła złodziejce wrócić do domu, ale ta zaczęła chorować i długi czas leżała w łóżku, aż w końcu zmarła.

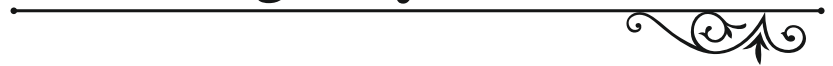
Zmarła zabiera swego narzeczonego

Pewna dziewczyna pokłóciła się z narzeczonym i zmarła, nim zdążyli się pogodzić. Pewnego wieczoru narzeczonego przechodził koło cmentarza. Nagle zobaczył stojącą przed nim narzeczoną, która poprosiła go, by następnego wieczoru przyszedł na jej grób, żeby mogli się pogodzić.

Narzeczonego jednak nie poszedł na cmentarz, pozostał w domu i wylegiwał się na ławie pod piecem. Kiedy trzeciego wieczoru znów leżał pod piecem, nie mógł zaznać spokoju. Czuł, że ściąga go z ławy i w końcu poszedł na cmentarz, ale zabrał ze sobą brata. Kiedy doszli do muru cmentarnego, brat przy nim pozostał. On poszedł dalej. Nagle pojawiła się zmarła i zabrała go ze sobą. Więcej go nie widziano.

Od tego czasu zmarła już po ziemi nie chodziła.

Legendy z Postomina



Błądny ognek koło Jarosławca

Nad Martwą Głownicą rozciągają się szerokie bagna. Podczas cichych, ciemnych nocy jesiennych ukazują się tu błędne ogniki skaczące od kępki do kępki. Według legendy rzecz miała się tak.

Dwieście lat temu w Darłowie kwitła żegluga morska, ale wielu tu mieszkających marynarzy było zatrudnionych na statkach wypływających z Gdańska. Punkt zbiorczy tych mężczyzn był w Jarosławcu. Stamtąd wozami jechali do Gdańska. Wieczór pożegnalny był wesoły, wypili mnóstwo rumu. Nad ranem wsiedli na wozy i odjechali. Jeden z wozów w ciemności zjechał z drogi i wjechał w bagna koło Głownicy. Miejsce było bardzo głębokie i wszyscy utonęli. Dusze topielców nie mogą zaznać spokoju i dlatego ukazują się zmęczonemu samotnemu wędrowcowi, jako skaczące błędne ogniki, które prowadzą go do zdradliwego miejsca, w którym utonie.

W innych wioskach ludzie opowiadają podobną legendę o błędnych ognikach. Według niej ogniki to niespokojne dusze nieochrzczonych dzieci, które zginęły nienaturalną śmiercią.

Cudowny ratunek przed wilkami

W dawnych czasach na mokradłach otoczonych krzakami i trzcina koło Wicka Morskiego pasano konie i źrebięta. Zarośla na brzegu jeziora były świetną kryjówką dla wilków, które szczególnie upodobały sobie młode konie. W różny sposób atakowały źrebięta, na przykład wrywały im gardziel lub wypruwały wnętrzności. Wilki napadały także na samotnie wędrujących ludzi.

Tak stało się pewnego jesiennego dnia podczas ogromnej ulewy. Chłop z Rusinowa jechał konno po rozmokłych drogach do miasta. Na granicy wioski, gdzie stał młyn, z zarośli wyskoczyła gromada wilków. Jeździec spiął konia ostrogami i pognał naprzód. Nagle zobaczył przed sobą drugą sforę wilków. Przestraszony nie widział wyjścia ze śmiertelnego niebezpieczeństwa. Wtedy zobaczył obok drogi wysoką sosnę. W jednej chwili złapał się rozłożystej gałęzi i drżąc cały wskoczył na drzewo. Zaskoczone wilki zatrzymały się i wyjąc z całej siły próbowały się wdrapać na drzewo. Wykorzystując tę chwilę koń bez jeźdźca pognał na przełaj przez pola ciągnąc za sobą wilki.

Przy swojej zagrodzie w Rusinowie kopnął kopytami w bramę, budząc w ten sposób domowników. Z latarniami i wilczymi dzidami z ogromnym krzykiem otworzyli bramę. Koń cały zlany potem wielkimi skokami dotarł do stajni. Przestraszone wilki uciekły w ciemną noc. Ponieważ koń wrócił sam myślano, że jeździec nie żyje. Rano grupa ludzi wybrała się na poszukiwanie zaginionego. Z wielkim zdziwieniem zobaczyli go siedzącego na wysokiej sośnie. Pół żywego zdjęto z drzewa i zanieśiono do domu, gdzie opowiadano wszystkim o cudownym ocaleniu przed wilkami.

Diabelski zakład w Staniewicach

O przeszłości Staniewic osnutej legendami jeszcze dziś opowiadają mieszkańcy. Mówią o wojnach między rozbójnikami i kupcami, o wojnie trzydziestoletniej oraz o tak zwanym diabelskim zakładzie.

Przed kilku wiekami sołtysem Staniewic został chłop Selke. Polecił go w swoim testamencie stary sołtys Wormer, który funkcję swoją pełnił 30 lat. Po jego śmierci jego życzenie zostało spełnione.

Przez wieś płynęła rzeka, która utrudniała mieszkańcom wsi dojazd do Sławna. By dostać się do miasta musieli jechać okrężną drogą przez mokradła.

Nowy sołtys chciał sam zbudować most, by dać mieszkańcom prezent na początek sołtysowania. W zimowy poranek zaczął wozić taczka ziemię, by zrobić na rzece jak najwęższe miejsce do budowy mostu. Pracował niezmiernie wrzucając do wody taczka za taczka, ale rezultatu nie było widać. Sołtys się jednak nie poddawał się i pracował dalej. Gdy jednak nie było widać postępu, rozgniewany zawołał: Zdaje się, że diabeł macza w tym palce. W tej samej chwili rozległo się uderzenie pioruna i przed sołtysem zjawił się diabeł pytając czego od niego żąda?

Sołtys nie należał do ludzi, których ogarnia strach i kazał diabłu zasypać rzekę do określonej szerokości. Diabeł odrzekł: będziesz to miał za dwie godziny, ale musisz mi za to obiecać swoją duszę.

Sołtys przekonany, że diabeł nie jest w stanie wykonać pracy w tak krótkim czasie przystał na jego propozycje.

Szatan natychmiast wziął się do roboty. W zawrotnym tempie pędził z taczkami pełnymi ziemi ku rzece i szybko je wypróżniał. Stopniowo z fal zaczęła wyłaniać się ziemia. Sołtys już wiedział, że w ciągu następnej godziny diabeł wykona pracę. Pomyślał o ucieczce, ale natychmiast tę myśl odrzucił. Diabeł i tak wykona pracę i upomni się o jego duszę. Musiał mu przeszkodzić w ukończeniu pracy.

Szybko, jak tylko mógł, pobiegł do domu, wpadł do kurnika, chwycił dużego koguta, wsadził go do worka i wrócił do diabła.

Jeszcze jedna taczka – krzyknął diabeł – i twoja dusza będzie należeć do mnie. Sołtys wypuścił koguta z worka i gdy ten poczuł ziemię pod nogami natychmiast zapiał. Sołtys wiedział, że diabeł nie może znieść koguciego piania.

Diabeł z wściekłości wysypał ostatnią taczkę na pole, skoczył gwałtownie nad rzekę i rzucił z jednego brzegu na drugi kamień. Od tamtego czasu w Staniewiczach już go nie widziano. Na tym kamieniu jeszcze sto lat temu był odcisk diabelskiej stopy.

Sołtys zawiózł do rzeki jeszcze jedną taczkę ziemi i mógł zacząć budowę mostu.

Diabelski kamień leżał w wąwozie nad rzeką. Później został wysadzony i wykorzystany do budowy drogi.

Karzełek z przetaku

Wędrując z Barzowic do Rusinowa mija się na lewo od drogi niewielkie wzniesienie. W pobliżu tej górki przez całe lato pasą się konie. Nocą nad pastwiskiem rozlega się smutny śpiew małego karła, który z górki toczy się w okrągłym przetaku. Kiedy sito zatrzymuje się śpiew ustaje, a kulawy karzełek kuśtyka w kierunku koni. Dosiada jednego i tak długo na nim jeździ, dopóki koń się nie zmęczy. W ciągu nocy dosiadał wszystkie konie. Potem wraca do przetaku i znika na górcie zostawiając zmęczone konie.

Pastuszkowie opowiadali gospodarzom dlaczego konie są takie zmęczone. Starszy parobek chciał się o tym przekonać osobiście. Wieczorem przyczał się za krzakiem. Po jakimś czasie najpierw usłyszał smutny śpiew, a potem zobaczył toczące się sito i kulawego karzełka idącego w kierunku koni. Karzeł dopadł konia i galopował, do czasu, aż ten się zmęczył. Wtedy ujeżdżał następnego. W tym czasie parobek schował sito. Karzełek poprosił, by mu je zwrócił, a w zamian za to obiecał mu dostarczać w każdą niedzielę czystą białą koszulę. Parobek na to przystał. Od tego czasu już nikt nigdy nie ujeżdżał w nocy koni, a na łóżku parobka co niedzielę leżała czysta biała koszula. Starą koszulę zawsze ktoś zabierał. Działo się tak, aż do wesela parobka. Po nim na pastwisku panował spokój, a parobek nie otrzymywał już nowych białych koszul.

Karzełki wyprowadzają się z Rusinowa

Wdowę po gospodarzu obudził w nocy hałas. Miała wrażenie, że to szczury grasują w słomie. Naraz spod łóżka wyszedł bardzo zgrabny, elegancki, malutki mężczyzna. Miał zaledwie cal wzrostu. Uchylił czapeczkę i poprosił gospodynię o pożyczenie naczyń. Gnomki chciały w nocy urządzić chrzciny. Zapytał także, czy nie zgodziłaby się zostać matką chrzestną. Jeśli wyrazi zgodę, to do końca życia nie będzie tego żałowała, pod warunkiem, że nikomu o tym nie powie. Kobieta się zgodziła. W niedzielę usiadła pięknie ubrana w fotelu, ciekawa, co teraz będzie się działo.

O północy spod łóżka wyszedł cały rząd pięknie ubranych krasnali. Pośrodku szli rodzice wraz niemowlęciem. Karzełki w mig ustawili ławy i naczynia i zasiedli za stołami. Dwóch małych muzykantów grało wesołe melodie do tańca. Krasnale tańczyli aż do pierwszego piana koguta. Wtedy ich wódz serdecznie podziękował gospodyni i obiecał jej pomoc pod warunkiem, że codziennie w wyznaczonym miejscu w stodole będzie stawiała miskę pełną mleka. Gospodyni obiecała spełnić prośbę. I raptem pokój opustoszał.

Kobieta zasnęła. Gdy się obudziła zastanawiała się, czy to nie był sen. Wtedy na podłodze zobaczyła naparstek, podniosła go i okazało, że jest to mały kubeczek pozostawiony przez karzełki. Wiedziała już, że to była jawa. I codziennie stawiała w stodole miskę z mlekiem.

Przed śmiercią męża żyła bardzo skromnie. Teraz powodziło jej się dostatnio, tak że mogła dobrze wyposażyć dzieci. Gdy przekazała gospodarstwo synowi, ten musiał obiecać, że będzie codziennie stawiał miskę z mlekiem w stodole. Po jakimś czasie synowi zrobiło się szkoda mleka i nalał do miski wody.

Wtedy pojawił się krasnal i powiedział, że za ten czyn będzie ukarany. Jeśli gospodarz jest tak chciwy - dodał - to dla nas nie ma tu miejsca. Syn obiecał, że się poprawi, ale karzełki nie chciały z nim rozmawiać. Odtąd mali ludkowie nie pokazali się w Rusinowie. Nie tylko gospodarz, ale i cała wieś zubożała.

O tym, że wydarzenia te miały naprawdę miejsce świadczy to, że na małym wzniesieniu w wiosce można znaleźć fragmenty zastawy stołowej gnomków.

Odlewanie dzwonów Łącku

Dźwięk dzwonów łąckiego kościoła jest znany w okolicy od dawien dawna. Na wieży znajdują się trzy średniowieczne dzwony. Najmniejszy jest bez napisu i jest najstarszy. Dwa większe mają epitafy i proste ozdoby na uchwytych. Podobno zostały wykonane przez ludwisarza z Łącka. Ponieważ dzwony przeznaczone były dla kościoła w jego rodzinnej wsi, mistrz chciał je wykonać szczególnie pięknie, miały być arcydziełami, jego najlepszymi pracami. Ludwisarz odlewał je trzy razy, lecz nie był zadowolony ze swojej pracy. Podczas czwartej próby mistrza odwołano. Wtedy uczeń nie potrafił oprzeć się pokusie i sam dokonał odlewu dużego dzwonu. Po powrocie mistrz wpadł w szal i zaczął się znęcać nad chłopcem, który uciekł i skrył się w lesie.

Dzwon odlany przez ucznia miał piękną, jasną barwę dźwięku, tak że wszyscy go podziwiali. Chłopiec stał się znany i otrzymywał więcej zamówień, niż jego mistrz. Ten pękał z zazdrości, a w jego sercu rosła wielka zawiść. Postanowił go zabić, co niebawem uczynił. Zwłoki zakopał pod korytem w chlewie. Jednak zwłoki odkryto i mistrza słusznie ukarano.

Dzwon dzwoni do dziś i słysząc zażalenie w jego dźwięku:

Kto mnie odlewał,
ten nie żyje:
został pochowany
pod korytem w chlewie.

Według innego podania, to mistrz podobno wyczytał te słowa podczas bicia dzwonu i pełen skruchy zgłosił się do sądu.

🕊️ tajemniczym łabędziu na jeziorze Wicko

Koło Łącka, gdzie strumyk klasztorny wpływa do jeziora, księżna Adelajda Brunszwicka w 1394 roku założyła klasztor. Zakon Kartuzów był jednak zbyt ubogi, by mógł utrzymać klasztor na takim odludziu, więc zakonnicy przeprowadzili się do Darłowa do klasztoru Korona Maryi. Na miejscu dawnego klasztoru w pobliżu Łącka jeszcze dzisiaj można znaleźć szczątki starego muru.

Mnich z tego klasztoru popełnił straszną zbrodnię. Porwał dziewczinę z Łącka, a kiedy nie chciała mu być posłuszną, zgwałcił ją i wrzucił do jeziora. Po chwili wypłynął z toni śnieżnobiały łabędź i z żalonym śpiewem poruszał się po jeziorze. Łabędź zawsze wypływał w miejscu zatonięcia dziewczyny.

Żalony śpiew łabędzia zwrócił uwagę rybaków, którzy zauważyli, że ptak ten był większy od pozostałych i miał pięknie upierzoną głowę. Poza tym nie był płochliwy, nie uciekał kiedy rybacy do niego podpływali. Zaciekawieni zaczęli badać dno jeziora i odkryli zwłoki dziewczyny obciążone kamieniami. Od razu domyślili się, że mordercą jest mnich, gdyż jego dziwne i skryte zachowanie rzuciło się w oczy.

Nieczyste sumienie nie dawało mu spokoju. Uciekł do lasu, wędrował po wydmach, gdzie zginął. Po latach odkryto szkielet przykryty mnisim habitem. Tak zginął złoczyńca w wydmowych piaskach.

Jego duch nie zaznał spokoju. Straszy od czasu do czasu przerażonych wędrowców. Także łabędź niekiedy się pokazuje. Kto zobaczy tego pięknego, większego od innych ptaka z piękną głową, ten zagna szczęścia.

Podziemne karzełki w Rusinowie

W Rusinowie dawniej mówiono: kto chce trzymać dziecko do chrztu powinien zażyć kąpieli w stawie olszowym na łąkach. Ale powinien uważać, by woda nie dostała mu się do oczu, bo wtedy oślepie. Ciekawski parobek chciał sprawdzić prawdziwość tej opowieści. Kiedy go poproszono w kumy poszedł do stawu, zanurzył się i zmoczył jedno oko. Mimo ogromnej ciekawości bał się zmoczyć drugie. I co się stało? W drodze do kościoła zobaczył coś bardzo dziwnego – wielu podziemnych ludków pracowicie biegających tam i z powrotem, którzy nosili buraki i zboże do swoich podziemnych mieszkań. Im bliżej był kościoła, tym obserwował większy ruch małych, mierzających zaledwie pół cala ludków. Także podczas uroczystego obiadu po mszy wszędzie widział gnomki⁴, które jadły ze wszystkich talerzy, piły z każdej stojącej na stole szklanki, skubały owoce i ciasto, ale w tak małych ilościach, że goście tego nie zauważali.

Po obiedzie parobek udając się do domu spotkał w drzwiach karzełka ubranego w bogate aksamitne szaty. Aby go nie rozdeptać zrobił krok w bok. I wtedy usłyszał cienki głosik: „Zauważyliśmy dzisiaj, że nas widzisz. Opowiedz jak to się stało? Skąd masz ten dar?”

Parobek opowiedział o kąpieli w stawie olszowym i zamoczonym oku. Na to karzełek odpowiedział: „Nie mów o tym nikomu. Jeśli nas nie zdradzisz, to będziesz bogaty, a my krasnale będziemy ci pomagać”. Parobek obiecał solennie, że tak zrobi. I wtedy poczuł lekki powiew wiatru przy zmoczonym oku i w tej samej chwili przestał widzieć ludziki. Rodzina parobka stała się bardzo bogata. Także cała wieś zyskała na pomocy karłów. Po latach parobek, teraz już „pan” złamał daną przysięgę i opowiedział o karłach. Wtedy gnomki opuściły Rusinowo i odtąd mieszkańcy nie mogli liczyć na ich pomoc.

⁴ TP Gnom: wg dawnych wierzeń ludowych karzełek, pokraczny duszek podziemny, pilnujący zazdrośnie skarbów znajdujących się pod ziemią.

Przeprawa promem

W dawnych czasach mieszkańcy Mazowa przepływali promem na drugi brzeg Wieprzy. Jak mówi legenda, działały się wokół promu dziwne rzeczy, szczególnie w nocy i wtedy, gdy przybyły tu podziemne ludki – gnomki.

Gnomki musiały się pożegnać z Rusinowem, gdyż mieszkańcy wsi zdradzili ich obecność. Podczas wędrówki doszły do Wieprzy i zaczęły wzywać prom. Ich wołanie usłyszał ciekawski chłop. Z ukrycia zobaczył na przeciwległym brzegu trzech gnomków z tobołami. Gdy spotkał się z nimi, wyjaśniły mu, że chcą odejść z tych stron i proszą o przeprawę przez rzekę. Jest jednak jeden warunek: chłop nie może zobaczyć ich wszystkich. Zaproponowały, że za przeprawę zapłacą po dwa grosze od osoby lub pół korca z góry. Chłop zdecydował się brać po dwa grosze. Ustawił miseczkę na promie i po chwili usłyszał brzęk monet wpadających do miski, ale nikogo nie widział. Gdy miska się napełniła spadła na dno promu, który zrobił się bardzo ciężki. Chłop słyszał mnóstwo głosów, ale widział tylko trzech pierwszych gnomków. Z dużym trudem przeprowił prom na drugą stronę rzeki. Gnomki mu podziękowały, ale nie powiedziały dokąd się udają.

Chłop przeliczył pieniądze. Okazało się, że uzbierała się ogromna suma. Zaczął się zastanawiać czy gdyby wziął pół korca za przeprawę suma nie byłaby jeszcze większa.

Skąd się biorą wilkołaki

Dawniej wierzono, że niektórzy ludzie mogą zmieniać się w wilki i z czasem stają się wilkołakami. Jednak nie każdy człowiek mógł ulec takiej przemianie. By stać się wilkołakiem konieczny był specjalny pas skrojony ze skóry straceńca o północy przy akompaniamencie modlitwy do szatana. Posiadacz takiego pasa, gdy założył go przed zmierzchem - w nocy stawał się wilkołakiem, który buszuje po okolicy, rozszarpuje konie i czasem napada na inne zwierzęta. Trudno było złapać wilkołaka. Trzeba go było trafić święconą kulą. Trafiony, umierając znów stawał się człowiekiem.

Sobowtór z Rusinowa

Pastor Rahn urzędował w Rusinowie przeszło pół wieku (1743-1794). Podczas jego posługi spłonęła plebania. Ale ta legenda mówi o innym wydarzeniu: o domniemanym sobowtórze księdza.

Sobowtór ukazywał się we wsi i na polach, kiedy mieszkańcy wiedzieli, że pastor jest w domu. Służące często widziały sobowtóra i dlatego żadna z nich nie chciała na plebanii pracować. W końcu odważna dziewczyna opowiedziała pastorowi o zjawie. Powiedziała, że widziała ją na strychu, w ogrodzie i na polu, choć wtedy pastor przebywał w gabinecie. Pastor poprosił by natychmiast poinformować go, gdy pojawi się sobowtór.

Pewnego letniego dnia pastor w swoim gabinecie przygotowywał się do niedzielnej mszy. Służąca w tym czasie pracowała w ogrodzie i zobaczyła, pastora przechadzającego się ścieżką w pobliżu płotu. Szybko wtedy pobiegła do gabinetu i zobaczyła, że ksiądz siedzi przy biurku. Bez tchu krzyknęła: „Pastorze, szybko, tam w ogrodzie jest on”.

Pastor wstał, wziął biblię i wyszedł, ale nie pozwolił nikomu iść za sobą. Co robił w ogrodzie nie wiadomo. Słysząc było jedynie głośne czytanie biblii i wezwania by zjawa odeszła.

Od tego czasu nikt więcej nie widział sobowtóra.

Statek widmo na jeziorze Wicko

Dawno temu, w XIV-XV wieku, mieszkańcy nadbrzeżnych osad zajmowali się rozbójnictwem morskim. Podczas sztormowych nocy zapalali na wydmach duże ogniska, by przywabić błędzące i potrzebujące pomocy statki.

Pewnego jesiennego wieczoru wartownicy zauważyli trójmasztowy statek, który walczył z szalejącym sztormem. Statek dryfował, gdyż jeden maszt był już złamany. Nie było prawie żadnej widoczności. Statek zbliżył się do wysokiego brzegu koło Jarosławca. Wtedy jeden z marynarzy zauważył na wschodzie duży ogień przy brzegu.

Czy tam ma być ratunek? Miejsce do zawinięcia i do postoju? Kapitan skierował statek w kierunku ognia. Był to jednak tylko zwodniczy podstęp, który zwabił statek na płytkie wody, gdzie osiadł na mieliźnie. Nie było już ratunku. Cała załoga utonęła, a z pięknego statku pozostał jedynie wrak.

Pamięć o tym haniebnym czynie żyje do dziś. Przed nadchodzącym nieszczęściem lub powodzią wrak statku unosi się - jakby z pomocą niewidzialnych rąk - z dna morza do góry, bardzo wysoko, aż zawiśnie nad ludźmi. W bladym świetle księżycy widoczne są bardzo dokładnie stare części statku, widać dwa całe i jeden złamany maszt, kapitana na mostku i załogę proszącą o pomoc. Wszystko to dzieje się w zupełnej ciszy. Potem statek przenosi się nad jeziorem do Jezierzan i znika w dużej stodole.

Trzy pierścienie

Panny z rodu Puttkamerów odwiedził w ich rodowym zamku w Złakowie czarny rycerz i poprosił najstarszą z sióstr, by z nim poszła. Ta odmówiła, podobnie jak druga z sióstr. Pójść zdecydowała się najmłodsza. Czarny Rycerz przyprowadził ją do zagajnika i tu wrzucił coś do fartucha. Zabronił jej patrzeć za siebie w drodze powrotnej. Ciekawość jednak zwyciężyła i dziewczyna spojrzała za siebie. Zobaczyła gromadę małych postaci z pałkami, które zbliżały się do niej. Dziewczyna wyrzuciła zawartość fartucha i przybiegła do domu. Na skraju fartucha zauważyła trzy złote pierścienie, które się tam przyczepiły.

Następnego wieczoru, gdy siedziała w ogrodzie, znów pojawił się czarny rycerz i powiedział: „Od tych pierścieni zależą losy twojego rodu. Jeśli zginie pierwszy - w murach zamku utworzy się szczelina, której nie da się zamurować. Jeśli zginie drugi, to przy życiu zostaną tylko dwaj mężczyźni z rodu, a po stracie trzeciego pierścienia cały ród zubożeje.

Dwa pierścienie zaginęły. Po stracie pierwszego w murach zamku powstała szczelina. Trzeci pierścień jest starannie przechowywany.

Widmo na murze cmentarnym w Łącku

Od dawna znane są miejsca, w których straszy, na przykład cmentarze, odosobnione mostki czy dróżki z wierzbami. Ludzie omijają je lękliwie, zwłaszcza gdy jest ciemno. Na niektórych cmentarzach w gminie naprawdę straszycielsko. Tak mówiono.

Pewnego razu dwaj chłopcy bawili się w duchy i za to zostali ukarani bardzo srogo.

Legenda mówi o synu rybaka z Wicka Morskiego, który u kowala w Łącku uczył się rzemiosła. Często odwiedzał rodziców, ale zawsze w towarzystwie drugiej osoby, gdyż bardzo bał się duchów. Kiedyś musiał samotnie odbyć drogę. Z powodu dużego wesela nie znalazł osoby, która by mu mogła towarzyszyć. Dowiedziało się o tym, dwóch młodych ludzi z Łącka, którzy wiedzieli o jego wielkiej lękliwości. Postanowili go nastraszyć. Uczeń kowala był barczysty, wysokiego wzrostu. W ręku trzymał duży ciężki dzban kamionkowy dla szynkarza w Łącku. Gdy był w pobliżu cmentarza zobaczył na murze bardzo dużą postać w białej szacie z dziwnie wielką głową, świecącymi oczami i ustami jak żywy ogień. Kolana się mu zatrzęsnęły, a zęby zadzwoniły. Wtem zobaczył drugą straszliwą postać wychodzącą z cienia drzew i zagradzającą mu drogę. Chłopiec jękając się poprosił by go przepuściła. Postać potrząsnęła głową i wyciągnęła rękę chcąc go dotknąć. Chłopiec w szalonym rozpaczyciu uderzył ją z całej siły dzbanem. Rzekome widmo z głośnym krzykiem upadło na ziemię, a widmo z muru cmentarnego uciekło chowając się między krzyżami.

Przyszły kowal zapomniał o strachu, zbliżył się do leżącej postaci i rozpoznał w niej swego znajomego, który niestety już nie żył. Obok zakrwawionej głowy leżała duża rozłupana dynia. Sąd uniewinnił chłopca z zarzutu zabójstwa, gdyż działał w obronie własnej.

Zasypana wieś

Dawno, dawno temu na mierzei między jeziorem Wicko a Bałtykiem leżała bogata wieś. Dzisiaj rozciągają się tam wędrujące wydmy i lasy.

Kiedy zaczęto wycinać las, piasek zasypywał okolice. Tworzyły się piaskowe góry. Wędrujące piaski pomału pokrywały wieś. Duża wydma posuwająca się w głąb lądu pokrywała wszystko, lecz posuwając się w kierunku jeziora odkrywała ruiny domów. Nie na długo, następna wydma zakrywała je ponownie. Legenda mówi, że okoliczna ludność widziała fundamenty domostw, które czasem wystają z piasków. Po sztormach znów znikają.

Zjawa na drodze do Radosławia

Chłop z Radosławia nie miał szczęścia ani w życiu, ani w gospodarstwie, które zupełnie podupadło. Pewnego dnia pojechał do Sławna na targ, by sprzedać tłuste świnie. Pieniądze jednak musiał oddać natychmiast wierzycielowi. Smutny wsiadł na wóz. W drodze do domu myślał o swoim tragicznym położeniu i głośno powiedział: „Najlepiej się powieszę”. W tej samej chwili zobaczył przed sobą dwóch krasnali, którzy skinęli głowami i powiedzieli: „Tak, zrób to, wtedy cała bieda się skończy”. I zniknęli.

Apatyczny i z ciężkim sercem dojechał do domu. Przestał jeść i pić i myślał tylko o samobójstwie. W końcu popadł w obłąd. Rodzina musiała go nieustannie pilnować aż do śmierci.

Legendy z Sianowa



Bractwo Kurkowe

Fryderyk Wilhelm IV jako młody jeszcze książę często bywał na Pomorzu. Odwiedzał kąpielisko morskie w Darłównku. Podczas jednej kąpeli zaczął tonąć. Z morza wyciągnął go ratownik Elchert. Mówi o tym tablica na domu zdrojowym w parku.

Jadąc do Darłównka przejeżdżał przez Sianów. Tu witała go parada Bractwa Kurkowego, którą książę odbierał z uśmiechem na twarzy. Szczególnie miło witał króla strzelców pytając go o życzenia i potrzeby. Król strzelców po namyśle powiedział: „Sztandar!!!”. A z tyłu szeregu ktoś dodał mówiąc gwarą pomorską: „Bęben też by się przydał”. Książę to także usłyszał i kazał adiutantowi zapisać: sztandar i bęben, głośno używając gwary pomorskiej tak jak jego poddani.

Ku wielkiej radości wszystkich członków Bractwa Kurkowego otrzymali oni sztandar i bęben.

Cudowny piec przy plebanii

Stara plebania w Sianowie groziła zawaleniem i była także za mała dla licznej rodziny pastora. Zdecydowano o nowej budowie z obszerną pracownią dla duchownego, tak by mogła pomieścić dużo książek.

„No, mówił jeden – najlepiej postawmy piec na zewnątrz, wtedy znajdzie się miejsce na bibliotekę”.

Drugi na to: „Musi to być piec piękny, wyjątkowy”.

I tak wielki piec rósł przed plebanią, piec wyjątkowo piękny. Wszyscy z utęsknieniem czekali na zimę, by zobaczyć cudo przy pracy.

„To jest piecyk do rzeczy. Na pewno darłowanie takiego nie zrobią. My, sianowianie jesteśmy lepsi. Darłowanie pękną z zazdrości. Oni się uważają za mistrzów ze swoimi piecami na Zamku Królewskim. Jak będę kiedyś ksiązęcym nadzdunem, wtedy im pokażę, nauczę ich rozumu” – mówił sianowski zdun.

Wreszcie nadeszła mroźna noc. Strażnik miejski zbudził nad ranem burmistrza. Burmistrz kazał kościelnemu porządnie napalić, gdyż takie cudowne źródło ciepła musi być mocno nakarmione.

Zaczęto karmić potwora bukowymi i dębowymi polanami, tak że iskry fruwały i tańczyły, a z pieca buchało takie ciepło, że było je czuć aż na rynku. Twarz zduna także płonęła. Przyszły nadzdun ksiązęcy mówił z dumą: „Widzicie co potrafimy”. Burmistrz postanowił złożyć pastorowi wizytę. Kiedy wszedł do pokoju stanął jak żona Lotta z otwartymi ustami. W pokoju panowało lodowate zimno. Pastor chodził po pokoju w futrze i rękawicach, szyję miał owiniętą szalem. Tak grubo ubrany przygotowywał kazanie na niedzielę. Burmistrzowi było głupio i zimno i czym prędzej pobiegł do swego ciepłego domu.

Natomiast w ratuszu trwała gorąca dyskusja. Atakowano zduna, lecz ten bronił swojego dzieła. Kazanie niedzielne pastora wpłynęło na słuchaczy jak kazanie Hioba. Czym prędzej wstawili zwykły piec do pokoju studyjnego duchownego. A tajny nadzdun książeży zachorował na melancholię.

Diabelskie bagno koło Karnieszewic

W dawnych czasach koło Karnieszewic było duże jezioro. Dziś nie ma po nim śladu. Zarosło i zmieniło się w torfowisko. Podobno za sprawą diabła.

Ponieważ jezioro zarastało i powoli zmieniało się w bagno, wyginęły w nim ryby i chłopci nie mieli co łowić. Postanowili je zasypać. Po roku mozolnej pracy zasypali zaledwie małą część jeziora. Na naradzie u sołtysa zastanawiali się, jak przyspieszyć prace. Jeden z chłopów drapiąc się za uchem powiedział: „Gdyby tak diabeł mógł pomóc, to wszystko szybciej by szło”.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi i wszedł modnie ubrany kulejący panicz. To był Zły. Zaproponował zebranym, że w ciągu jednej nocy zasypie jezioro w zamian za ich dusze. Chłopi pomyśleli, że Zły sobie w tak krótkim czasie nie poradzi i zawarli umowę, w myśl której diabeł miał o północy rozpocząć pracę i zakończyć ją do rana. Jeśli w tym czasie wykona zadanie, dusze będą jego, jeśli nie, to umowa będzie nieważna.

O północy cała wieś zebrała się nad jeziorem, by obserwować prace diabła. Zły zjawił się wraz ostatnim uderzeniem kościelnego zegara. W olbrzymim fartuchu miał pełno ziemi torfowej, którą wrzucił do jeziora. Pracował bardzo szybko, tak że w niedługim czasie prawie całe jezioro zostało zasypane. Przestraszeni chłopci zaczęli się modlić i przeklinali nieszczęsną umowę zawartą ze Złym. W końcu zrozpaczona niewiasta klasnęła w dłonie tak głośno, że obudził się kogut z pobliskiego gospodarstwa i głośno zapiał. Za chwilę głośne pianie dało się słyszeć ze wszystkich kurników w wiosce. Diabeł wściekł się, zerwał buty z nóg i cisnął je do błota i sam głową w dół skoczył do nie zasypanego jeszcze kawałeczka jeziora udając się prosto do piekła.

Do dziś z dawnego jeziora zostało niewielkie oczko, a diabeł niekiedy wychodzi przez nie szukając swoich butów. Jeśli napotka człowieka zabiera go do piekła.

Jak burmistrz kupił torf

W dawnych czasach palono w piecach drewnem i torfem. Torfiarze sprzedawali swój produkt na targowiskach lub bezpośrednio w domach. Kiedyś jeden z torfiarzy pojechał ze swoim ładunkiem prosto do najokazalszego domu w mieście. Zapukał jeden raz do drzwi – nic, drugi i trzeci raz – nic. Wreszcie odważył się, chwycił za klamkę i drzwi się otworzyły. W pokoju było ciemno, a na pytanie: „Czy ktoś chce kupić torf?“, odpowiedź przysła z kąta przy piecu: „Tak”.

„Czy mam go zrzucić na podwórku?”. Na to pytanie także przyszło głośno: „Tak”.

Zadowolony torfiarz ucieszył się, że tak szybko załatwił interes, o cenie postanowił dyskutować później. Kiedy po rozładunku wrócił do pokoju zastał przy biurku, o dziwo, samego burmistrza. „Torf zrzuciłem. Proszę o pieniądze”.

„Ależ, mój drogi, na pewno się mylicie, nie kupowałem żadnego torfu” – odpowiedział burmistrz.

Na to chłop odpowiedział, że z kąta przy piecu ktoś torf zamówił.

„Z kąta przy piecu?” – zaśmiał się burmistrz. – „to musiała być Papchen, moja papuga. Skoro papuga zamówiła, powinna także zapłacić. Ale niech będzie, ile mam zapłacić?”.

„Myślę, że dwa talary. To nie za dużo”.

„Tu są pieniądze. A teraz chodź tu Papchen”. Po wysłuchaniu kazania papuga wróciła do kąta.

Po południu, przy kawie, burmistrz opowiadał o tym zdarzeniu gościom. W czasie kiedy wszyscy płakali ze śmiechu, kotek wskoczył na stół i wylizał słodką śmietaną. Widząc to burmistrzowa złapała kota z ogon i dała mu porządnego klapsa. Złajany kotek wielkim susem skoczył za piec, gdzie siedziała już nadąsana papuga. Papuga zadowolona z tego, że kot został połajany zatrzepotała skrzydłami i zapytała: „Także kupiłeś torf?”.

Jak krzew jałowca znalazł się w Iwęcinnie

O jałowcowy las w Iwęcinnie toczyła się około 200 lat temu rozprawa sądowa. Ciągnęła się latami. Dopiero wielki Elektor rozstrzygnął spór przyznając prawo własności iwęcinianom. Stało się to tak. W Osiekach za czasów katolickich stał sławny kościół odpustowy. Kiedyś pastuszka świń poszła do ołtarza, by przyjąć świętą komunię, przed żoną dziedzica Paulą Bulgrin. Ta szlachetna dama była tak tym oburzona, że mocno popchnęła biedną kobietę. Przestraszony ksiądz upuścił hostię na podłogę. Strach obleciał wszystkich obecnych w kościele, gdyż dziedziczka nagle zapadła się w ziemię do kolan. Pani Bulgrin od razu zorientowała się co się stało. Przyznała się do śmiertelnego grzechu i zaczęła się modlić do Boga prosząc go o wybaczenie. Pan Bóg nie odmówił jej łaski. Ksiądz podał jej rękę i pomógł wydostać się z ziemi i podniósł zakrwawioną hostię, którą odtąd wystawiono jako relikwię w złotej monstrancji.

Wieść o cudzie błyskawicznie się rozniosła. Osieki stały się znaną miejscowością pielgrzymkową. Tysiące osób przybywało do wsi, by zobaczyć cud na własne oczy i poprzez siłę krwawiącej hostii otrzymać przebaczenie grzechów i uzdrowienie z choroby.

Gdy jednak nowa nauka dotarła w te strony ksiądz uznał, że wszystko to było wielkim zabobnem. Wyjął hostię z monstrancji i zaczął się modlić: „O Jezu Chryste, Synu Boga, który przyszedłeś do nas w postaci chleba i wina, odpuśćcieś nam nasze winy i przebaczyłeś nam nasze grzechy czyn, byśmy pamiętali o twojej dobroci i nie mieli innych Bogów oprócz Ciebie. Zjem tę hostię jak zwykły chleb, ale z modlitwą i podziękowaniem”. Ksiądz nie zaznał szkody.

Podczas następnej mszy dziedzic zauważył brak świętej hostii w monstrancji. Ksiądz opowiedział mu o swoim czynie, przekonując iż nie spotkało go nic złego, a to świadczy o tym, że Bóg w ten sposób przemówił. Dziedzic wraz z rodziną przyjął nową wiarę. Jedynie jego córka Anna Katarzyna von Bulgrin została katoliczką i brała odtąd udział w nabożeństwach w kościele w Iwięcinie. Jako podziękowanie, że i miejscowi chłopcy nie odeszli od swojej wiary, podarowała im jałowce. Iwięcino było ostatnią ostoją wiary katolickiej w parafii darłowskiej.

Jak sianowanie innym dali zapalki

Wszystkie legendy, podania i opowiadki były przyczyną złej i śmiesznej opinii o Sianowie. Dlatego sianowanie wymyślali różne sztuczki, aby ten stan zmienić. Próbowali różnych sposobów, lecz żaden nie został przyjęty przez mieszkańców. „Musi to być coś wspaniałego, coś co zadziwi świat!” – mówili.

Stało się raz, że obywatel Sianowa spotkał na polu pasterza, który podczas silnego wiatru naderemnie próbował zapalić swoją fajkę. Wiele sił wkładał w potarcie stalki o krzemień, ale sztorm i deszcz gasiły iskierkę. Sianowianin przyglądał się temu myśląc: „Pastuch tak się trzyma, jak my o sławę w świecie”. Nagle zawołał: „Mam pomysł, mam pomysł” i popędził prosto do domu. Stary pastuch patrzył za nim ze zdziwieniem.

Mądry obywatel Sianowa poszedł do apteki, gdzie odbył tajną rozmowę z aptekarzem o materiałach, które się zapalają przez potarcie. Obładowany wieloma torebkami zamknął się w swoim warsztacie nie jedząc nawet kolacji. Przez wiele dni przeprowadzał doświadczenia nie wpuszczając nikogo do środka. Pewnego dnia nałożył czarny garnitur, wziął cylinder i poszedł do burmistrza. Po tajemniczej rozmowie ojciec miasta wezwał wszystkich rajców na zebranie w warsztacie o czwartej godzinie. Każdy miał zabrać ze sobą pustą fajkę i miał zobaczyć coś wyjątkowego, coś niepojętego.

W dużym napięciu stawiała się cała rada w warsztacie. Na olbrzymim stole stała duża tabakiera napełniona najlepszym tytoniem.

„Teraz możecie sobie zapalić fajkę” – zapraszał mądry sianowianin. Napełniając fajki tytoniem wyjęli z kieszeni stalki i krzemienie, aby zapalić ogień. Mądry z uśmiechem przyglądał się temu. Nie mając zamiaru zapalić swojej fajki.

„A teraz uważajcie” – powiedział i wziął do ręki mały patyczek z ciemną główką potarł o coś i patyczek się zapalił. Świecił jasno i gorąco, tak że zapalił fajkę. Radni patrzyli ze zdziwieniem. Każdy chciał teraz spróbować zapalić patyczek. I rzeczywiście, eksperyment się udał i fajki można było zapalić.

„Widzicie – rzekł wynalazca – to jest mój wynalazek. Ja go wam podaruję. Tak jak ten patyczek się pali, tak nasza sława zapłonie na całym świecie. To jest prawdziwe sianowskie światło, którego nikt nam nie odbierze”.

Mądry sianowianin miał racje. Śmieszności tego miasteczka są znane tylko na Pomorzu, ale „sianowskie zapałki” jak pochód triumfalnie zdobyły cały świat i głosiły sławę Sianowa.

Kąśliwy pikling

Na targ do Sianowa zawsze przyjeżdżało dużo ludzi. Chłop z okolicy po dobrej sprzedaży krowy postanowił coś zjeść. Kupił u handlarza pięknego, tłustego piklinga, którego postanowił zjeść popijając zimnym piwem, gdyż było bardzo gorące lato. Poszedł więc w kierunku gospody trzymając rybę w ręce. Nagle poczuł ból we wskazującym palcu. „Ty przekłete ścierwo, jeszcze mnie śmiesz gryźć? Czekaj ja cię nauczę gryźć”. Ze złością rzucił piklinga na ziemię i rozdeptał go butami na miazgę. Potem zaczął oglądać swoje dłonie i zobaczył pinestkę w palcu, taką jaką chłopcy wydmuchiwali rurką. Zobaczył także złoczyńcę stojącego w otwartym oknie. Pineska miała trafić piklinga, a nie dłoń chłopca.

Kłopoty z sianowskim piwem

Sianowskie piwo jest lepsze, niż opinia o nim. Gdyby wszystkie plotki o nim były prawdziwe, to już nikt w Sianowie by nie żył. Tymczasem wszyscy pijący sianowskie piwo cieszą się dobrym zdrowiem, a plotki na pewno rozgłaszały okoliczne browary. Szczególnie koszalińscy piwowarzy obawiali się sianowskiej konkurencji i wymyślili następującą historię.

Ponieważ w Sianowie nie było browaru, sianowianie kupowali piwo w Sławnie, Darłowie i Koszalinie. Po pewnym czasie postanowili zbudować własny browar. Założyli spółkę akcyjną i wysłali burmistrza i kilku radnych na zwiady do różnych miast pomorskich, aby przeprowadzili testy piwne. Dojechali aż do Szczecina i Pasewalku, także na wyspę Wolin. Z różnych gatunków piwa wybrali najlepsze i najmocniejsze. W Sianowie zaczęto warzyć piwo mocne i bardzo smaczne. Mieszkańcy zaczęli kupować już tylko miejscowe piwo. Kupowano je nawet w Koszalinie. Już nie mówiono o nim źle.

Pewnego gorącego, letniego dnia piwowar wiózł pełny wóz załadowany beczkami z piwem. Na Górze Chełmskiej jedna beczka spadła z wozu i potoczyła się z górki. Koszalińscy chłopcy – figlarze pomagali się jej toczyć wołając bez przerwy: „Sianowskie piwo jedzie”. Zdenerwowany piwowar śmigał konie ile sił, aby zejść z oczu małym krzykaczom. Oni tylko na to czekali. Kiedy wóz znalazł się za zakrętem otworzyli beczkę. Z okolicznych domów wybiegli ludzie, aby w tym upale napić się darmowego piwa. Następstwa nie kazały na siebie długo czekać. Duży upał, a może toczenie się beczki miało zły wpływ na piwo. W każdym razie, ci którzy napili się piwa zachorowali na bóle brzucha i jeszcze gorzej. Wszyscy przeklinali sianowskie piwo rozgłaszając, że tylko żołądek woźnicy może strawić takie świństwo, taki diabelski trunek. Sianowianie stracili rynek zbytu i musieli sami pić swoje piwo. Czym dłużej je pili, tym bardziej umacniali się w przekonaniu, że koszalinianie celowo głosili tę plotkę. Każdy kto kiedyś pił trunek jęczmienny w Sianowie może zaświadczyć, że jest on dobry.

Kobold² z Suchej Koszalińskiej

Niedaleko Suchej Koszalińskiej wiedziano podobno kobolda. Wieczorami latał w powietrzu ciągnąc za sobą ognisty ogon. Niekiedy ludzie krzyčili do niego: „Pół udziału”. Wtedy upuszczał połowę pieniędzy, które niósł. Jeśli ludzie mu dokuczali potrafił rzucić w nich coś tak śmierdzącym, że ubrania nie nadawały się już do noszenia. Mieszkał w jednym z gospodarstw chłopskich. Nocami rozpalał w piecu piekarniczym. Gdy jednak ktoś bliżej podchodził, wszystko znikało. Codziennie dostawał miskę mleka. Gdy pewnego razu wypił mu je parobek, głośno się o nie dopominał, dopóki nie dostał swojej porcji. Parobkowi jakaś niewidzialna ręka wymierzyła w ciemności policzek. Długo chodził z zaczerwienioną twarzą. Pewnego razu, gdy młynarz wracał do swojego młyna, który leżał na uboczu, kobold zastąpił mu drogę. Młynarz przeszedł na drugą stronę, ale kobold także. Nie pozostało mu nic innego jak wrócić do wsi i tam przenocować.

⁴ *PT Kobold - karzełek, duszek, złośliwy domowy krasnal lub gnom pilnujący podziemnych skarbów. Dawni niemieccy górnicy uważali, że koboldy podmieniają srebro na uważane wtedy za bezużyteczne nikiel, kobalt, wolfram*

Lipa przed sianowskim ratuszem

Przed ratuszem w Sianowie posadzono lipę. Drzewo rosło i rosło, tak że z czasem zaczęło zaciemniać kilka pokoi, zwłaszcza latem, kiedy było na nim pełno liści. Rada miejska postanowiła sprzedać drzewo. Ogłoszono więc publiczny przetarg. W dniu przetargu przed ratuszem, w cieniu lipy, zebrał się sianowianie i pewien woźnica z okolicy. On wygrał przetarg. Po zapłaceniu stawki wyjechał z miasta nie zabierając lipy.

Następna wiosna była przepiękna, a lipa kwitła tak obficie, jak nigdy przedtem rzucając cień do pomieszczeń biurowych. Burmistrz denerwował się, ale właściciela lipy nie było. Aż pewnego dnia przyjechał do Sianowa. Tłumaczył się, że drzewo owszem kupił, ale nigdy nikomu nie mówił, że je zetnie. Przeciwnie niech rośnie, gdyż daje wspaniałą cień. Jego konie lubią tu wypoczywać. Ciężka to była sprawa. Nie pomyślano, że ktoś kupi drzewo po to, żeby rosło. Rada miejska postanowiła odkupić prawo własności od woźnicy. Po długich targach ten zgodził się sprzedać lipę za duże pieniądze. Nareszcie sianowianie mogli ścinać piękną lipę, płacąc za to duże pieniądze. Ale najbarziej ich bolało to, że woźnica wszędzie opowiadał, jak łatwo można zarobić w Sianowie.

Małe orzeźwienie

Sianów często gościł znanych ludzi. Nawet książęta pomorscy pili sianowskie piwo na swoim zamku niedaleko miasta. Wędrowcy idący z Koszalina do Sławna zatrzymywali się w miasteczku na krótki postój.

Za czasów „Starego Fritza” gość z Moskwy zapowiedział swoje przybycie do miasta i poprosił o małe orzeźwienie – poczęstunek podczas przerwy w podróży. Nie chciał, by przygotowano duże przyjęcie bowiem dni były upalne. Na zebraniu rajców miejskich burmistrz Sianowa przedstawił sprawę, lecz nikt nie potrafił określić, jak ma wyglądać małe przyjęcie. Po długim milczeniu swój pomysł zgłosił mistrz kowalski. Jego pomysł był tak przekonujący, że został przyjęty jednogłośnie.

Na łąkach i ulicach Sianowa panował lipcowy upał. Książę moskiewski siedział w powozie i słuchał opowieści swojego adiutanta o miasteczku. Z dala widać było delegację mieszkańców stojących przed bramą w szeregu, a za nimi coś ciemnego.

„Gdybym nie wiedział, że Sianów nie posiada garnizonu, pomyślałbym, że witają mnie artylerzyści z salutką. A może to strzelcy z Bractwa Kurkowego z armatką” – pomyślał książę.

Burmistrz zakończył mowę powitalną słowami: „A teraz małe „orzeźwienie” w dzisiejszym upale, które wymyślił dla Waszej Ekscelencji”.

Potem słychać było głośne słowa komendy kowala, radnego i strażaka: „Dokładnie celować! Raz, dwa, trzy! Strzelać!”. I nagle strumień wody rzecznej z pompy strażackiej oblewał powóz i głowę nic złego nie przeczuwającego księcia.

„Woźnico, zwrot” – krzyknął. W tym momencie usłyszał głośne: „Hurra, z przodu ma dosyć, dołożyć mu z tyłu!”. W drodze powrotnej książę ominął miasto. Ale i dzisiaj jest niebezpiecznie prosić w Sianowie o małe „orzeźwienie”.

Oszukany oberżysta

Pewien oberżysta z Sianowa trzymał sztamę z drobnymi oszustami, gdyż sam potajemnie był złodziejaszkiem i paserem. Ale kiedyś i jego dosięgła sprawiedliwa kara. Przyczyniło się do tego dwóch nieuczciwych wędrujących czeladników. Pierwszy był rzeźnikiem o przydomku „Zarzynaj barana w ogrodzie”, drugi był krawcem, który zawsze mówił: „Zapłać oberżystę jego własnymi pieniędzmi”. W sianowskiej oberży jedli, pili i opowiadali gościom wesołe historie. Potem udali się na noc do pokoju.

Po północy, gdy wszyscy już spali cichutko wykradli się z domu. W sadzie za domem stał uwiązany baran. Raz, dwa, trzy, szybko rzeźnik go zarznął i ściągnął skórę, którą wypełnili sianem i na kilku kijach postawili pod drzewem. Mięso zabrali.

Po ich odejściu oberżysta wykradł się z domu do lasu, gdzie był umówiony z pomocnikiem gajowego. Poprzedniego dnia uzgodnili, że za godziwą opłatą dostarczy on oberżystę świeżą rogaciznę. Rozmowę podsłuchali dwaj czeladnicy i uknuli plan.

Na umówionym miejscu myśliwy cicho zapytał: „Rogacizna?”.

„Tutaj”. Oberżysta otrzymał ciężką paczkę w zamian za pieniądze. Nazajutrz była niedziela i czeladnicy spali długo. Gdy zeszli do jadalni, już wszyscy odświętnie ubrani siedzieli przy dużym stole, na którym stała pięknie pachnąca pieczeń. Po posiłku czeladnicy zapłacili dobrą gotówką, co spodobało się oberżystę i jego żonie.

Po południu córka oberżysty przybiegła do ojca wołając: „Szybko, nasz baran nie żyje! Gdy chciałam mu dać pić, przewrócił się i leży nieżywy. A w ogóle dziwnie wygląda”.

Oberżysta i jego żona o mało nie pękli ze złości, gdy zobaczyli wypchaną skórę. „Gdybym wiedział, kto to zrobił, to nie wiem co bym z nim zrobił” - krzyczał oberżysta.

„Może ja wam mogę pomóc”, usłyszał głos zza płotu. Stał tam policjant z Koszalina, który pytał o dwóch czeladników. Ci dwaj wczoraj w Koszalinie okradli sklep, a ślady prowadziły do Sianowa. Oberżysta przyznał: „Prawda, wczoraj było tu dwóch. Jeden nazywa się „Zarzynaj barana w ogrodzie”, a drugi...”. Mówił tak cicho, że policjant nie zrozumiał.

„No i macie zarżniętego barana”, śmiejąc się policjant odszedł. Oberżysta przydomek drugiego zataił, gdyż wydałoby się, że ten drugi opryszek zapłacił rachunek jego pieniędzmi.

Przesuwanie kościoła

Nareszcie kościół był gotowy i odbyło się poświęcenie. Na pięknej uroczystości wierni siedzieli głowa przy głowie trzymając książeczki z modlitwami. W tym dniu pięknie świeciło słońce oślepiając sianowian patrzących na kartki książeczek do nabożeństwa. Księdzu także blask słońca przeszkadzał w odczytaniu kazania.

„Nie, co za dużo, to za dużo. Za tak duże pieniądze można było zbudować kościół i ustawić w innym kierunku” – szeptał do ucha swojemu sąsiadowi rosły kowal. I wyrok był gotowy: „Kościół jest źle ustawiony!” Narzekania usłyszał przechodzący wędrowiec. „To jest najłatwiejsza rzecz pod słońcem” – powiedział. „Musicie przesunąć kościół kawałek dalej”.

„Dobra rada – odpowiedzieli. Lecz jak będziemy wiedzieli, że przesunęliśmy nie za daleko?”

„To proste. Na ustalonym miejscu burmistrz położy swój surdut, a wy tak daleko przepchniecie kościół”.

Z zadowoleniem przyjęto dobrą radę wędrowca i natychmiast przystąpiono do pracy. Najpierw burmistrz zdjął nowiutki surdut i położył na wyznaczonym miejscu. Wszyscy obecni ustawili się pod ścianą kościoła i pchali ile sił, aż pot lał się strumieniami.

Po pewnym czasie burmistrz zarządził przerwę, podczas której wysłał kowala, by zmierzył ile metrów trzeba jeszcze pchać. Kowal szybko wrócił wołając: „Przestańcie! Już dość. Surdut już pokryty”.

„No tak – powiedział burmistrz – jeśli my sianowianie bierzemy się do roboty, to nam się udaje ją wykonać i to szybko”.

Cwany wędrowiec szybko uciekł z nowym surdudem burmistrza.

Niektórzy mieszkańcy tak mocno ocierali głowami o ścianę kościoła podczas „pchania”, że włosy im wyszły i byli łysi. Jeszcze dziś, widząc łysego, mówi się: „Ty też na pewno pomagałeś pchać sianowski kościół”.

Sianowska skromność

Podczas sianokosów siedmiu sianowian kąpało się w rzeczce przepływającej przez miasto. Po wyjściu z wody jeden z nich sprawdzał, czy nikt się nie utopił. Doliczył się tylko sześciu, gdyż przez wielką skromność nie policzył siebie. Dla pewności inni też liczyli, ale zawsze brakowało jednego, gdyż nie myśleli o sobie.

Nie mogli ustalić, który z nich został na dnie rzeczki. Spytali więc przechodzącego wędrowca o radę. „No tak, powiedział – mogę wam pomóc, ale dacie mi kolację i nocleg”. Obiecali i to z taką ilością piwa, jaką zechce. „Dobrze, klęknijcie na brzegu i włożcie nosy w miękki piasek”. Usłużnie zrobili, co wędrowiec im kazał. Kiedy mocno kaszląc wstawali z klęczek, w miękkim piasku pozostały dziurki po nosach. I o dziwo okazało się, że jest ich siedem. Z wielką radością urządzili w miasteczku uroczystą ucztę, gdyż lepiej wydać pieniądze na ucztę niż na mokry pogrzeb.

Jest i druga historia podobna do tej.

Po wyborach burmistrza i ośmiu radnych wszyscy spotkali się na pierwszym zebraniu. By upewnić się, że wszyscy przyszli burmistrz policzył obecnych zaczynając od siebie: „Ja jestem, jeden, dwa trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem!”. Policzył drugi i trzeci raz, zawsze brakowało jednego. Ale kogo nie było ? Burmistrz widział wszystkich. W końcu pastuch, który pędził krowy, pomógł im wyjść z opresji. Nakazał wszystkim obecnym napisać własne nazwiska na kartkach, położyć je na środku stołu i policzyć. Nareszcie wszystko było w porządku i narada mogła się rozpocząć.

Szubienica sianowska

Na górcie koło Sianowa stała szubienica. Była znakiem miejscowego sądownictwa i zawsze była utrzymywana w najlepszym stanie, gdyż sianowianie kochali szybkie i surowe wyroki. Często słychać było dzwonięcie, które towarzyszyło skazańcowi w drodze na szubienicę. Koszalinianie także mieli szubienicę, ale rzadko była po zlikwidowaniu gniazda zbójczego na Chełmskiej Górze używana. Kiedy po długim czasie skazano na śmierć przez powieszenie podpalacza, okazało się że szubienica była zupełnie spróchniała i nie utrzymałaby nawet kota, a tym bardziej dorosłego złoczyńcy. Zrozpaczeni koszalinianie zwrócili się do sianowian z prośbą o pozwoleńie powieszenia złoczyńcy na sianowskiej szubienicy. W zamian zobowiązali się powiesić kogoś z Sianowa na nowej szubienicy, która zostanie wybudowana. Oburzona Rada Miejska odpowiedziała: „Szubienicę stawialiśmy za własne pieniądze i dla naszych złoczyńców, a nie dla obcych i nie dla byle kogo ze Sławna, Darłowa, Polanowa. Szubienica jest nasza i tylko dla naszych”.

Tańczące konfirmandki³ w kościele w Iwicieniu

W iwicińskim kościele znajduje się pamiątkowa tablica z lat 1729 i 1730, na której widoczne są dwie małe dziewczynki. Obie siostry zmarły, gdy miały trzy miesiące, ale na obrazie przedstawione są jako młode dziewczyny. Stoją obok siebie trzymając się za ręce jak konfirmandki. Wokół tej tablicy powstała następująca legenda: „W przeddzień Niedzieli Palmowej, zgodnie z dawną tradycją, konfirmandzi dekorowali wnętrze kościoła, a szczególnie ołtarz. Po skończonej pracy siostry tańczyły wokół ołtarza. Za takie zbeszczeszczenie świętego miejsca obie dziewczynki zostały ukarane. Upadły martwe.”

Ta legenda oparta jest na fakcie historycznym, ale z napisu na epitafium wynika, że chodziło o małe dzieci.

⁴ *Konfirmacja jest w kościołach ewangelickich odpowiednikiem jednocześnie pierwszej komunii i bierzmowania w kościele katolickim. W większości krajów protestanckich ma miejsce w dniu Niedzieli Palmowej lub pierwszej niedzieli po Wielkanocy.*

Wojna przyszła

Sianowianie uwielbiali słuchać wieści ze świata. Ciekawa rzecz zdarzyła się latem na łące przy sianokosach. Wędrujący handlarz zatrzymał się przy kosiarzach i podczas przerwy w pracy opowiedział im dziwne historie o czarownicach, rozbójnikach, o zarazach i okropnych znakach na niebie. I najgorsze co powiedział, to że tam w Rzeszy rozpoczęła się straszna wojna. „Na pewno i tu dojdzie” – tak zakończył swoje opowieści.

Sianowianie nie raz słyszeli o wojnie, ale nie wiedzieli o niej nic bliższego. „Co to jest wojna? Jak ją rozpoznać?”. „Wszyscy się biją i zabijają, wszystko po drodze palą”. „Niech nas Pan Bóg przed tym chroni” – pomyśleli i wrócili do pracy.

Dla ochłody czekała na nich w trawie beczka piwa do połowy już pusta. A że żniwiarze zapomnieli zatkać otwór czopem, do środka beczki dostał się duży bąk. W środku było ciemno więc bąk latał z głośnym zum, zum i brum, brum, brum, uderzając z hukiem o ścianki. Słyszając te huki i stuknięcia kosiarze zaczęli wołać: „Wojna przyszła. Już słuchać brum, brum”. Ile sił w nogach uciekli z łąki do domów. Tylko jeden chcąc ratować piwo wziął beczkę na plecy. Bał się bardzo odgłosów dochodzących ze środka. W pewnym momencie potknął się o kamień i przewrócił się. Beczka rozbiła się, a on został trafiony deską. „Na pomoc, zostałem trafiony, umrę!” – wołał. Po pewnym czasie odważył się wstać, bo to straszne brum, brum ucichło. Kulejąc dotarł do domu, gdzie witano go słowami: „Tym razem wojna zakończyła się dla nas szczęśliwie. Byliśmy szybsi niż ona. Jakże mogłoby być inaczej w Sianowie”.

Wybór nowego burmistrza

Bez burmistrza miasto nie mogło funkcjonować. Na ogłoszenie o wakacie nikt się nie zgłosił. Wobec tego postanowiono wybrać kogoś spośród mieszkańców Sianowa. Przez wiele tygodni bezskutecznie radzono, aby w końcu tak wyjść z impasu. Na rynku ułożono duży stóg siana. Żony wszystkich kandydatów miały jednakowo się ubrać i stanąć wokół stogu chowając głowy w siano. Ojcem miasta miał zostać ten, który pozna żonę po pośladkach. Żony się na to zgodziły, bo która by nie chciała zostać burmistrzową. Niestety nikt nie potrafił rozwiązać tego zadania i trafić na swoją lubą. Jako ostatni zgłosił się stróż nocny. Jego żona miała rude włosy. Niewielkie pasemko wyglądało ze stogu. Chytry stróż poklepał kobietę mówiąc: „To jest mój stary lis”. Nie brzmiało to bardzo elegancko, ale zostać burmistrzową, to jest coś. Ku radości wszystkich mieszkańców, stróża nocnego ogłoszono burmistrzem.

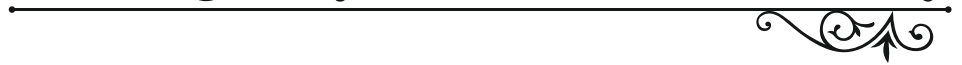
Żywy pajac

Chłop z Dąbrowy przyjechał na jarmark gwiazdkowy do Sianowa, żeby zrobić zakupy na święta. Dla żony nabył nowy kołowrotek i chustę na głowę ładniejszą niż miała sołtysowa. Dzieciom kupił pierniki i serduszka z obrazkiem i wierszykiem, a z myślą o radości dla wszystkich kupił też ruhomego pajaca. W domu pokazał wszystkie prezenty sąsiadowi, który nie mógł pojechać na targ, bo cieleła się mu krowa. Najbardziej podobał mu się pajac. Zapytał chłopą gdzie go kupił i ile kosztował. „Ta rzecz była tania – rzekł chłop – a kupiłem ją w sklepie introligatora koło apteki”.

Nazajutrz sąsiad pojechał do Sianowa i poszedł prosto do apteki, gdzie za ladą stał pomocnik, który nie znał gwary pomorskiej. Pokazał klientowi różne poszuszcзки i buteleczki, bo myślał że chodziło o lekarstwo. Zdenerwowany gospodarz w końcu powiedział: „Ma ręce i nogi i wywija nimi”. Pomocnik aptekarza wreszcie zrozumiał o co chodzi, wybiegł z apteki. Za chwilę wrócił z uczniem z pobliskiej szkoły. „Takie?” – zapytał.

„Nie, żyjącego nie chcę – powiedział gospodarz. On by za dużo zjadł”. Potrzęsnał głową i wyszedł z apteki.

Legendy ze Sławna i okolicy



Krzyż na niebie

Rok 1628 obfitował na Pomorzu w dziwne znaki. Jeden z nich pojawił się na sławieńskim niebie 3 sierpnia między siódmą a ósmą wieczorem. Był to bardzo duży biały krzyż, który rozciągał się nad całym miastem, aż po daleki horyzont.

Podobny pojawił się w Zielone Świątki nad Jerozolimą tuż po wschodzie słońca ciągnąc się od Golgoty do Góry Oliwnej. Wielu ludzi po tym wydarzeniu nawróciło się.

Co znaczył krzyż nad Sławnem? Może był zwiastunem zarazy czarnej ospy, która niebawem wybuchła w mieście? A może oznaczał coś zupełnie innego. To tylko Bóg wie.

Krzyż pokutny w Sławnie

Przy końcu średniowiecza stał w Sławnie przed Bramą Słupską krzyż pokutny o wysokości 18 stóp⁴. Mieszkańcy miasta postawili go jako pokutę za przewinienie wobec księcia Bogusława X. W dokumentach znajdujemy następującą wzmiankę na ten temat. Sławieńscy mieszczanie niesłusznie ukarali i stracili Borcharda z Winterfeld, kuzyna opata z Belbuck. Bogusław X w 1485 roku zarządził w Słupsku, że sławnianie mają zapłacić 600 marek okupu i zorganizować pielgrzymki do Einsielden, Wilsnack i do trzech Świętych Gór - na Górę Chełmską, Polanowską i Rowokół. Dodatkowo zażądał ustawienia krzyża pokutnego przed Bramą Słupską. Miał to być krzyż z krucyfiksem ku pamięci Borcharda, wysoki na osiemnaście stóp.

W Wołogoszczy Bogusław X poświęcił burmistrzowi i radnym miasta Sławna otrzymane 250 reńskich guldenów okupu za ścięcie głowy Burcharda z Winterfeld.

Wydarzenie to jest różnie przedstawiane w legendach.

⁴ stopa, dawna jednostka długości nawiązująca do długości stopy ludzkiej.
W różnych krajach miała różną długość - przeciętnie około 30 centymetrów.

Podatek od toczenia ¶

W dawnych czasach na zamku w Sławsku mieszkał bogaty i odważny rycerz - rozbójnik. Okradał on kupców, a następnie ich więził i torturował. Podczas jednego z rozbójniczych wypadów został złapany. Chłopi zwrócili się z zapytaniem do sławieńskiego magistratu, co mają zrobić z groźnym więźniem. Magistrat odparł: „Głowę ściąć, nie zostawić przy życiu”. Ponieważ w niewłaściwym miejscu postawiono przecinek, chłopci źle zrozumieli intencje magistratu i stracili rycerza, po czym jego głowę toczyli z góry w kierunku Sławna. Magistrat był jednak zdania, że chłopci uczynili źle i zostali za to ukarani grzywną, którą musieli płacić do kasy miejskiej Sławna przez długie lata.

Podatek od toczenia ¶¶

W Sławnie w okresie średniowiecza panowała wielka bieda. Ponadto mieszkańcom dokuczał rycerz - rozbójnik z pobliskiego zamku. Przez wiele lat rycerz łupił i plądrował posiadłości mieszkańców, kradł bydło z pastwisk, zabijał nie tylko zbirów, ale także zacnych mieszczan. Nigdy nie ukarano go za zbrodnicze czyny.

Skargi do księcia pomorskiego nie odnosiły skutku, gdyż ten był dobrym przyjacielem rycerza - rozbójnika. Wobec tego sławnianie postanowili złapać zbója przy pomocy fortelu. W pobliżu rycerskiej góry urządzili zasadzkę i wysłali na przynętę śliczną córkę burmistrza w kierunku zamku. Fortel się udał. Rycerz bez eskorty zbliżył się do samotnie idącej dziewczyny. Sławnianie na tę chwilę czekali. Wskoczyli z ukrycia, złapali rycerza i pełni triumfu wiedli go do aresztu do miasta.

Co teraz zrobić z więźniem? Uwięzić go na długie lata, to za mało. Zasądzić kary śmierci bez wyroku nie można było. Dlatego zwrócono się do księcia, z pytaniem co zrobić ze złapanym rycerzem. Książę odpowiedział lakonicznie: „Ściąć głowę nie żyje dalej”. Książęcy pisarz zapomniał postawić przecinka po „nie”. Sławnianie postawili go przed „nie” i ścieli głowę rycerzowi. Ku wielkiej radości wszystkich głowę toczono dookoła rynku, tak jak piłkę. W końcu głowę i tors zakopano pod szubienicą.

Radość sławnian nie trwała długo. Kiedy książę się o tym dowiedział wpadł w szał. Objął im swój rozkaz: „Głowę ściąć nie, zostawić przy życiu”. Za to nieposłuszeństwo miasto musiało od tąd płacić co roku pogłównę do kasy książęcej w Darłowie. Grzywnę tą sławnianie płacili do najnowszych czasów, ku stałej pamięci o nieposłuszeństwie wobec księcia.

Przepaść koło Sławska

Między Sławskiem a Staniewicami rozciąga się przepaść przez którą płynie strumień wpadający do Wieprzy. W poprzek przepaści wiedzie droga ze Sławna do Ustki. Znajduje się tu wysoki wał, o powstaniu którego mówi ta legenda.

Sołtys Staniewicz Peest często jeździł do Sławna i trudno mu było się przeprowiać przez zalaną przepaść. W złości przeklął to miejsce i zażyczył sobie, by diabeł zabrał tę wodę. Diabeł natychmiast się pojawił i zawarł z nim układ: usunie do rana wodę, a w zamian otrzyma duszę sołtysa. Zły całą noc woził ziemię taczka i wał szybko rósł. Przerażony sołtys zaczął się modlić do Boga, by ten uratował go z opresji. I rzeczywiście, zanim wał był gotowy, zapiał kogut. Diabeł chwycił wielki kamień i ze złością rzucił go w lukę wału, wszedł na niego i zniknął. Ślad jego stopy widoczny był na kamieniu. Niedawno kamień wysadzono. Jeszcze dziś w okolicach przepaści dzieją się rzeczy niesamowite. Duchy niejednego tu mocno wystraszyły.

Rów zmarłych koło Sławna

Niedaleko Sławna jest rów, z którym związana jest następująca legenda.

Pewnej nocy trzy dziewczyny szły przez kładkę nad rowem. Opowiadały o pewnym zdarzeniu, jak duch wodny wciągnął do rowu chłopca, który go obraził. Dziewczyny kpiły sobie z ducha i nawoływały go. Gdy były na środku, z wody wynurzyła się postać, która od góry miała wygląd człowieka, a od dołu ryby. Był to duch wodny, który wciągnął dziewczice do wody. Odtąd zawsze o północy pojawiają się trzy postacie, które smutnym śpiewem odstraszały zbliżających się do tego miejsca i ostrzegają przed groźnym duchem wodnym. Śpiewają aż do pierwszego uderzenia dzwonu, który każe im wrócić do mokrego grobu.

Zaczarowany zamek koło Sławna

W okolicach Sławna wędrował swego czasu młody rzemieślnik w poszukiwaniu pracy. Pewnego dnia ujrzał przed sobą zamek, którego nigdy przedtem nie widział. Przed wejściem na schodach stała piękna dziewczyna, która ruchem ręki przywoływała go do siebie. Chłopak zbliżył się. Schody i dywany pokryte były grubą warstwą kurzu, tak jakby nie były czyszczone przez wieki. W dużej sali dziewczyna podała mu kielich wina. Gdy chciał się napić, w lustrze na przeciwnej ścianie zobaczył postać strasznie wyglądającego mężczyzny, który groźnie podniesioną dłonią dał mu znak, by nie pił z kielicha. Przestraszony wędrowiec postawił kielich i szybko uciekł z zamku. Gdy przebył około 50 kroków odwrócił się – zamku już nie było.

Gdyby wypił podane przez dziewczynę wino, zamek zostałby uwolniony z czarów, a on sam zostałby bogatym człowiekiem. Przeszkodził mu w tym sam zły. Rzemieślnik do końca życia tego żałował.

Czerwona księga

Pewnego dnia krawiec wraz z czeladnikiem naprawiali ubrania w domu kowala ze Sławska. Gdy kowal wyszedł na polowanie, krawiec zaczął rozglądać się po mieszkaniu. Na szafie dojrzał czerwoną księgę. Wziął ją i zaczął przeglądać. Wtedy w pomieszczeniu zaczął wiać bardzo silny wiatr, tak silny, że poruszał nawet meble. Przerażony krawiec chciał zamknąć książkę. Ale jakaś olbrzymia siła nie pozwalała na to. Wiatr był coraz mocniejszy, tak że cały sprzęt fruwał po pokoju. Na szczęście wrócił kowal. Widząc co się dzieje, wyrwał krawcowi książkę z ręki i zamykając ją powiedział: gdybyś jeszcze dłużej czytał, diabeł zabrałby i ciebie i chłopca.

Na drogę powrotną kowal dał krawcowi broń, woreczek ze śrutem i rożek prochu oraz zalecenie, by strzelał do wszystkiego co zobaczy na drodze.

Krawiec najpierw ustrzelił zająca. Kiedy chciał go podnieść zając zniknął. To samo zdarzyło się z kuropatką i wróblami. Zdenerwowany wyrzucił strzelbę i wrócił do kowala. I wtedy zobaczył, że wyrzucona broń była już w mieszkaniu kowala. Przestraszony uciekł i już nigdy więcej nie postawił nogi w domu kowala ze Sławska.

Pożyczone dzwony kościelne

Obie wioski - Karwice i Rzyszczewo - posiadają kościoły. Ponieważ jedna z parafii nie posiadała dzwonów - wypożyczała je od drugiej na określony czas. Raz zdarzyło się, że dzwonów nie zwrócono w umówionym terminie, a później one już nie chciały wrócić. Wóz wiozący ciężkie dzwony lekko toczył się wiejską drogą, ale przy granicy parafii głęboko ugrzązł i w żaden sposób nie można go było wyciągnąć. Ale o dziwo z powrotem wóz jechał normalnie. Wypożyczone dzwony zostały na zawsze w parafii. Legenda nie mówi, czy były to Karwice, czy Rzyszczewo.

Młyn w Gwiazdowie

Między Sławnem a Gwiazdowem rozciąga się szerokie bagno. W dawnych czasach znajdował się tam duży młyn. Droga z Gwiazdowa do Sławna prowadziła obok młyna. Do obowiązków młynarza należało uporządkowanie drogi. Ponieważ była to bardzo trudna praca, młynarz zawarł umowę z diabłem. Ten miał zbudować kamienną groblę przez bagno w zamian za jego duszę. Zły wziął się ostro do roboty. Następnego dnia diabeł ze swymi pomocnikami usypał prawie całą groblę o długości 3 kilometrów. Młynarz mocno się przestraszył, gdy po północy pozostał tylko 100 metrów odciłek do usypania, a do pierwszego piana koguta było jeszcze sporo czasu.

Kiedy diabeł niósł następną partię kamieni, w zaroślach zapiał kur. Zawtórowały mu wszystkie koguty w okolicy. Woda w głębokiej dziurze zaczęła się wznosić, prawie się gotując. Zły widząc, że przegrał zakład rozsypał kamienie po grobli i okolicy. Stos kamieni i głęboki rów z wodą istnieją do dziś, lecz młyn zapadł się pod ziemię.

A skąd się wziął kogut w zaroślach ? Kobieta idąca dzień wcześniej na targ zgubiła go. Ten gdy usłyszał w nocy hałas spadających kamieni zaczął pisać i tak uratował duszę młynarza.

* * *

Inna legenda mówi, że młynarz obiecał diabłu w zamian za pomoc własnego syna. Gdy praca zle-go za szybko się posuwała, młynarza obleciał strach. Po namyśle ubrał skórzane spodnie, wsadził koguta do worka i udał się w pobliże grobli. Tam zaczął dłońmi uderzać w spodnie, tak że powstał dźwięk podobny do uderzeń skrzydeł, taki jaki wydaje kogut przed paniem. Kiedy usłyszał to kogut w worku, zaczął pisać. Diabeł przegrał i zostawił niedokończoną groblę.

Młynarz zawarł z diabłem nową umowę. Grobla zostanie ukończona w zamian za duszę pierwszej żywej istoty, która przez nią przejdzie. I tym razem młynarz oszukał diabła, goniąc przed sobą po grobli starą maciorę. W złości diabeł ją chwycił i wrzucił do wody. Te legendy opowiadał stary chłop z tych stron.

0 zamku w Boleszewie

Na północnym skraju parku w Boleszewie stał zamek. Wiele lat drzwi były zamknięte na klucz, który trzymał w paszczy jadowity wąż.

Legenda mówi, że ten, który odbierze wężowi klucz i otworzy nim drzwi, uratuje nieszczęsnych uwięzionych.

Kiedyś mieszkańcy wsi opowiedzieli o zamku i wężu wędrownikowi idącemu ze Słowina do Boleszewa. Ten chcąc posiadać zamek zdecydował się na walkę z wężem. Mieszkańcy zamku już zaczęli się cieszyć, że niedługo będą wolni. Niestety, wąż zabił mężczyznę i zaraz po tym zamek zapadł się pod ziemię. Dzisiaj na tym miejscu znajduje się staw okolony płaczącymi jesionami. Na pewno płaczą po zmarłych.

Światło w kościele w Rzyszczewie

W rzyszczewskim kościele często nocą paliło się światełko. Pewnej nocy ksiądz zobaczył przy ołtarzu kobiecą postać, która ręką wzywała go do siebie. Podeszedł. Niewiasta poprosiła o komunię. Po przyjęciu hostii na zawsze zniknęła.

Wśród mieszkańców opowiadana jest legenda, według której światło w kościele, to dusza gospodyni dawnego księdza. Którejś niedzieli gospodyni nie zdążyła ugotować na czas obiadu, bo za długo modliła się w kościele. Niezadowolony ksiądz zbeształ kobietę, a wtedy ta przysięgła, że już nigdy nie pójdzie do komunii. Nawet na łożu śmierci nie pozwoliła synowi, by przyprowadził księdza. Zmarła bez przyjęcia sakramentów. Za karę jej dusza w postaci światełka, błąkała się po kościele do czasu, gdy jakiś ksiądz nie podał jej hostii.

Skrzaty w Warszkwie

W Warszkwie koło Sławna stara kobieta trzymała na strychu dwóch małych chłopców w czerwonych kurtkach. Siedzieli w dużej beczce. Osobiście zanosila im jedzenie, gdyż nie chciała, by o ich istnieniu dowiedziały się służące.

Skrzaty umiały latać. W powietrzu wyglądały jak małe smoki. Kiedy były złe, zionęły ogniem. Kiedy zawoła się zaklęcie tracą moc i upuszczają zdobycz. Wtedy trzeba uważać i skryć się szybko pod dachem, gdyż skrzaty upuszczają zdobycz na głowę wołającego. Poszkodowany nosi ciężar przez całe życie, chyba że odzyska sympatię skrzatów. Kiedyś skrzat zabrał płótno, które suszyło się na łące. Po krzyknięciu zaklęcia upuścił płat płótna, które zawisło na kominie, skąd zostało zdjęte i zwrócone właścicielce.

Skrzat gotuje

Wieśniaczka ze Sławnska w każdą niedzielę udawała się do kościoła. Kiedy wracała do domu, na stole stał obiad. Parobek był tym bardzo zdziwiony. Z ciekawości podczas nieobecności pani zajrzał przez komin i zobaczył gotującego skrzata.

Kiedy wróciła gospodyni, parobek nie chciał jeść tłumacząc, że nie może spożywać stawy przygotowanej przez skrzata. I to był błąd. Skrzat zniknął i od tego czasu nigdy nie było na czas gotowego obiadu.

Jak założono zamek w Sławsku

Książę Świętobór chrystianizował Pomorze, na co niezbyt przychylnie patrzyli jego poddani. Z kłopotami zwrócił się do księcia Kruko z wyspy na Bałtyku. Ten obiecał pomoc pod warunkiem, że Świętobór wyrzeknie się chrześcijaństwa i da mu za żonę swoją córkę Sławinę. Księżniczka nie chciała wyjść za Kruko, jednak w końcu posłuszna ojcu wyraziła zgodę na ślub. Zamieszkała na wyspie i bez przerwy tęskniła za ojcem i rodzinnymi stronami.

Po pewnym czasie Kruko postanowił spełnić jej prośbę i wybudować zamek nad Wieprzą.

Niedługo potem poddani Świętobora znów donieśli na swego pana, że powtórnie przeszedł na chrześcijaństwo. Kruko uwięził swego teścia w lochach zamku i sam mianował się księciem. Fakt ten hucznie obchodzili jego poddani. Podczas zabawy Kruko ugodzony został strzałą z kuszy prosto w serce. Powstało straszne zamieszanie, a na dodatek rozpętała się burza. Zamek zaczął się palić. Ogień szybko się rozprzestrzenił i zamek spłonął do fundamentów.

Sławina schowała się w piwnicach, gdzie uwięziony był także jej ojciec. Bóg nad nimi czuwał. Książę Henryk z Mecklenburgii, który wcześniej poznał księżniczkę przybył na zamek w przebraniu barda. Stojąc na zgłiszczach zaśpiewał smutną pieśń. Wtedy usłyszał głosy dobiegające z ruin. Kazał swoim ludziom kopać i wkrótce z piwnic wyszli Sławina i jej ojciec.

Sławina została żoną księcia Henryka, a poddani Świętobora uznali jego rządy i przyjęli chrzest. Książę Henryk kazał odbudować zamek i na cześć swojej żony nazwał go Sławina. Zamek stał na wzniesieniu koło Sławska nad Wieprzą. Stąd podobno pochodzi nazwa miasta Sławno.

*Abruz' vmb pfiffend so hoch im zeit
aus 1284 Die Hamblen an der Wiser
wzagt und besunden satt die bruch*

Legendy z dawnego powiatu slawieskiego



*Die Stadt
Hamblon
an der Wiser*



*Wasser
Fluss*

ISBN 978-83-957115-6-5



9 788395 711565